

Mysł Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 52

15 sierpnia, 1943

Cena (Price) 1/-

DRUGI ETAP WALKI

POLITYKA narodów w pewnej tylko, naogół niewielkiej mierze, jest wyrazem indywidualnego charakteru jej kierowników. Cele, które sobie stawia, kierunek, który przybiera, metody, którymi się posługuje, wynikają z istoty samego narodu, z jego siły, z jego ustroju społecznego, stanu gospodarczego, z jego psychologii politycznej, z jego wreszcie położenia zewnętrznego. O tyle, o ile te czynniki są stałe, i polityka narodu nie zmienia się z pokolenia na pokolenie, utrzymuje się w swych tradycyjnych liniach, wykazując zadziwiająco nieraz trwałość kierunku i nawet metod działania. W miarę przeobrażania się stanu wewnętrznego narodu i jego położenia zewnętrznego, polityka się przekształca, podąża za życiem często nie dość szybko, niezdolna przemysleć nowych faktów i nowych procesów, które życie przynosi. Rzadziej, nowe żywioły, dochodzące do kierownictwa politycznego, nie rozumiejące przeszłości, nie posiadające perspektywy dziejowej, przeceniają doniosłość zmian, zachodzących w danej epoce, wyobrażają sobie, że od nich dzieje ludzkości pójdą nowymi całkiem drogami, i skutkiem tego zbaczają z drogi politycznej, którą narodowi wytyka jego położenie. Polityka narodów nie jest w głównej swej istocie szeregiem czynności przypadkowych lub dowolnych — jest ona systemem budowanym przez pokolenia, systemem, do którego każde pokolenie mniej lub więcej wnosi i który stopniowym tylko ulega przemianom. Każde prowadzące ją pokolenie korzysta z doświadczeń szeregu pokoleń poprzednich.

System polityki narodu, który nie może pochodzić ze ślepego naśladownictwa wzorów obcych, stworzonych przez inne narody, w innych żyjących warunkach, musi być dziełem samoistnej twórczości narodu. Należy on wszakże do tych dzieł, które z pracy pokoleń powstają. W tej pracy musi być ciągłość, każde pokolenie musi dopełniać i ulepszać to, co zrobili pokolenia poprzednie.

My, walcząc o nasze pojęcie Polski, szliśmy do stworzenia w Europie środkowo-wschodniej nowego państwa całkiem samostnego, zarówno gospodarczo, jak politycznie, państwa mającego dane do zdobycia roli mocarstwowej, mogącego służyć za oparcie dla mniejszych narodów Europy Środkowej, oddzielającego Niemcy od Rosji, wreszcie mającego wartość cennego sojusznika dla wielkich narodów, którym przyrost potęgi niemieckiej zagraża, państwa zatem

stanowiącego poważny czynnik równowagi europejskiej. Rozumieliśmy, że przy najszczęśliwszym nawet rozstrzygnięciu kwestii obszaru Polski, do tej roli odrazu ona nie dojdzie, że musi się wychować przed tym nowe pokolenie, z nowymi pojęciami, z poważniejszym obliczem moralnym, niż ludzie wyrosli w niewoli, pokolenie zdolne podjąć wielkim zadaniom niezawisłego państwa.

“Walka o nasze terytorialne pojęcie Polski, to nietyle była walka o ten czy inny kawałek ziemi, ale o całą przyszłość naszego narodu i właściwie o przyszłość środkowej i wschodniej Europy.

“Ta walka, w tym jej pojęciu, nie została rozstrzygnięta. To, cośmy zdobyli, ma tę wartość, że posiadamy poważne dane do pomyślnego prowadzenia jej dalej”.

ROMAN DMOWSKI w “Polityka Polska i Odbudowanie Państwa” (1924).

W ROKU 1917 nic nie świadczyło pozornie, że pierwsza wojna światowa za rok skończy się pełnym zwycięstwem Sprzymierzonych i że za dwa lata wśród zwyciężczych państw świata znajdzie się podpis Rzeczypospolitej na traktacie pokojowym. Była to bowiem chwila, kiedy Niemcy opanowały całą Europę, z wyjątkiem Francji i Włoch, kiedy one jedynie decydowały o sprawie polskiej, o której nikt nie chciał słyszeć w świecie, kiedy Rosja mimo, że zepchnięta daleko na wschód od ziem polskich, żądała od swych zachodnich sojuszników wolnej ręki w strefie na wschód od Niemiec, pozostawiając im łaskawie wolną rękę w sprawie Europy Zachodniej. Rosja godziła się, acz niechętnie z możliwością powstania Polski z ziem zaboru niemieckiego, zachodniej Galicji i Królestwa, związanej politycznie i wojskowo z Rosją, a także związanej z nią ideą słowiańską, ale odrzucała wszelką myśl o dyskusji na temat Lwowa, Chelmu, Białegostoku, Wilna. Europa nie miała pojęcia o sprawie polskiej. Dla ówczesnych polityków brytyjskich myśl o polskiej Warszawie była równie szokująca jak dziś myśl o polskim Wrocławiu. W dodatku na włosku wisiał “biały” pokój z Niemcami, pokój “bez aneksji i odszkodowań”, jeśli tylko Niemcy przyjmą ustrój demokratyczny.

W samym społeczeństwie polskim pojęcie Polski, po półtorawiecznej niewoli i zaniknięciu samodzielnej myśli politycznej, było bardzo niejasne. Ostatnim realnym obrazem państwa była Rzeczypospolita z Witebskiem i Zytomierzem ale bez Katowic i Olsztyna. Pol-

skiego wojewody i ambasadora nikt sobie nie wyobrażał nawet we śnie.

I w tych warunkach, Dmowski, nie mający żadnego uprawnienia międzynarodowego, po szeregu rozmów z najwybitniejszym politykiem konserwatywnym brytyjskim, lordem Balfourem, wydał dla użytku Zachodu broszurę “*Problems of Central and Eastern Europe*”, zawierającą nie żądania Polski, ale program celów wojny Sprzymierzonych, program w znacznej mierze, choć niestety nie w całości, następnie przyjęty i zrealizowany.

Wstępną tezą broszury Dmowskiego jest, że o rzeczywistym wyniku wojny zadecyduje rozstrzygnięcie spraw Europy Środkowej. Pozostawienie krajów między Niemcami a Rosją w stanie, który nie uniemożliwi dostania się ich pod wpływły niemieckie, oznaczać będzie zwycięskie dla Niemiec zakończenie wojny, mimo klęski militarnej, i w konsekwencji nową wojnę niemiecką w najbliższym czasie. Tylko zorganizowanie tego terenu w sposób zapewniający mu niezawisłość od wielkich sąsiadów dać może istotną zmianę układu sił w Europie, a Sprzymierzonym rzeczywistego sojusznika antyniemieckiego. Zasada, na której oprócz należy przebudowę Europy Środkowej i Wschodniej, jest zasada państw narodowych, rozgraniczonych jaknajsprawiedliwiej, tak, by jaknajmniej było między nimi zarzewi przyszłych konfliktów. Część dalsza broszury podaje, w ogólnych zarysach z uzasadnieniem, program terytorialny poszczególnych twórców narodowo-państwowych.

Między programem Dmowskiego a warunkami ustalonymi w traktatach zawartych w *Versailles*, *Trianon* i *St. Germain* zachodzą następujące najważniejsze różnice. Dmowski przewidywał odpruszenie Niemiec przez przyznanie Polsce Prus Wschodnich, całego Śląska Górnego, oraz pewnych części Środkowego, i kawałków Pomorza Zachodniego, tudzież oczywiście Gdańska. Natomiast za rzecz naturalną uznawał przyłączenie niemieckich krajów Austrii t.j. tego, co stanowiło później republikę austriacką, do Niemiec. Przypuszczał, że w związku z tym stolica Niemiec będzie przeniesiona z Berlina, a charakter Rzeszy ulegnie znacznej zmianie. Litwę widział w unii z Polską z zachowaniem jej kulturalnej odrębności. Nie przewidywał ten program przyłączenia Rusi Zakarpackiej do Czech, a w stosunku do Węgier proponował granice etnograficzne bez pokrzywdzenia Węgier dla celów strategicznych czy ekonomicznych

Dziś ten program wydaje się niemal oczywisty, aż banalny. Czyż mogło być inaczej? Mogło i nawet prawdopodobnie byłoby. Program był rewolucyjny w samej zasadzie. Był on tworem logicznym zbudowanym na podstawie znajomości terenu. Dziś każdy z nas pamięta jak wyglądał np. urząd wojewódzki w Katowicach, dworzec w Stołpcach, komenda portu w Gdyni, mundur armii czechosłowackiej, znaczek pocztowy jugosłowiański, fabryka przemysłu wojennego rumuńskiego. Dziś możemy operować konkretnymi i doświadczeniami, w r. 1917 to były fantazje. Jest to różnica zasadnicza.

Tylko prymityw umysłowy może powiedzieć: *"Ach, dziś to wszystko jest nieważne, dziś myśleć trzeba kategoriami wielkich bloków kontynentalnych, mówmy o Europie Środkowo-Wschodniej jako całości, mówmy o federacji, nie o drobiazgach"*. Dopóki podmiotem świadomości politycznej w świecie jest naród, a tak jest w naszej epoce i nic nie zapowiada dotąd zmiany zasadniczej, dopóty wychodzenie w rozumowaniu politycznym od jakichś innych punktów, geograficznych czy logicznych jest oczywistym nonsensem. Bloki składają się z podstawowych części składowych, z narodów żyjących na określonych obszarach i w określonej cywilizacji i ustroju. Jeśli ktoś chce zrobić mocny blok, nie może wziąć kupy kamieni i oblać ich cementem, musi te kamienie dobrać i dopasować do siebie, wziąć pod uwagę ich ciężar i kształt.

Przejdźmy z przenośni do przykładów z życia. Główną słabością Europy powojennej była niemożność ujęcia narodów między Niemcami a Rosją w jednolity blok. Główną przyczyną nie była tu niedojrzałość tych narodów ani śmiertelne spory między nimi, lecz ich słabość, brak dostatecznie silnego ośrodka w ich obrębie. Punkt ciężkości systemu środkowo-europejskiego leżał poza nim samym. Znajdował się on we Francji. Polska, Czechosłowacja, Jugosławia, Wielka Rumunia, były w granicach powersalskich nie do pomyślenia bez oparcia o Francję. Francja postarała się o to, by państwa te były na tyle silne, by przedstawiać wartość sojuszników, nie zależało jej na tym, by stanowiły razem siłę mocarstwową samodzielną. Anglii zaś zależało na tym, by nie były tak silne aby dopomóc Francji do hegemonii w Europie. Toteż potworzono organizmy od siebie niezależne i, używając określenia z astronomii, *"drugiej wielkości"*. Francja sama zrezygnowała ze swej roli na wschodzie i z tą chwilą cała struktura środkowo-europejska zawisła w próżni. Kto n.p. wnikliwie obserwował stosunki polsko-czeskie, widział jasno, że istotną przyczyną trudności nie jest sprawa cieszyńska, ale spychanie na siebie wzajem głównego ciężaru niebezpieczeństwa niemieckiego. Tę politykę w stosunku do Polski uprawiał Benes w latach dwudziestych (*"Polska Balkanem Europy"*), też w stosunku do Czechosłowacji Beck w latach trzydziestych. U podstaw tej polityki leżało poczucie własnej słabości, przeświadczenie, że nawet połączone oba państwa same nie są w stanie stawić zwycięsko czoła Niemcom. A ileż w polityce wszystkich mniejszości narodowych, choćby u nas Ukraińców, było przekonania o tymczasowości, sezonowości istniejącego układu międzynarodowego! Jakież inaczej wyglądać by musiały bodaj cytowane stosunki polsko-czeskie, gdyby Polska nie była zagrożona od Prus Wschodnich, a stojąca mocną nogą od Polagi po Łębork i granicząca z Czechosłowacją nie tylko przez Słowaczczyznę i Cieszyńskie, ale z samymi Czechami w Sudetach. Jakże inaczej wyglądałyby stosunki polsko-rosyjskie, polsko-lotewskie, polsko-rumuńskie,

czesko-węgierskie i czesko-niemieckie! Jak dla każdej organizacji podstawową rzeczą jest podział kompetencji, tak dla organizacji między państwowej podstawowy jest podział terytorialny. Przy tworzeniu każdej organizacji sprawa podziału kompetencji może być najłatwiej użyta dla rozbijackich swarów, ale nikt przy zdrowych zmysłach z tego powodu nie zaczyna organizacji od sprawy szyldu, przemilczając kompetencje. Idą one i iść muszą zaraz po celu organizacji, z punktu widzenia tego celu ustalone.

Polska znajduje się w tym samym miejscu Europy co w roku 1917-ym. Miejsce wszakże polityki polskiej w obozie Sprzymierzonych nie jest to samo. Wówczas miejsce polityczne Polski było podobne raczej do obecnego położenia Czechów: miejsce nawpół dobrowolnego wasala Niemiec, którego przedstawiciele na zachodzie usiłują dać wyraz istotnej woli narodu; lub do pozycji Rumunów. Dmowski wykazuje, jak na każdym kroku ta pozycja kępowała jego możliwości. Obecne miejsce polityczne Polski da się raczej przyrównać do ówczesnego miejsca Serbii. Serbia zaś w wyniku tamtej wojny urzeczywistniła swój wielki plan polityczny mimo oporu wielekroć potężniejszych Włoch w samym obozie zwycięskim. Polska w obecnej wojnie, o czym pamiętać zawsze należy, jest jedynym pełnoprawnym przedstawicielem narodów środkowo-europejskich w obozie Sprzymierzonych, jedynym państwem, które nie ugięło się przed Niemcami, tak jak przedtem jedyne utrzymało wobec nich niezależność gospodarczą. Nasz rząd jest jedynym niekwestionowanym prawnie rządem tej części Europy. To na politykę naszą nakłada obowiązki inicjatywy. Rząd polski ma odpowiedzialność nie tylko wobec własnego narodu ale także wobec tych wszystkich narodów Środkowej Europy, które się po tej stronie frontów głośno odezwać nie mogą.

Urzeczywistnienie planu Dmowskiego jest tylko pierwszym etapem przebudowy Europy Środkowej, polegającym przede wszystkim na zburzeniu dwóch filarów panowania niemieckiego nad tą częścią świata, t.j. Prus i Austrii i postawieniu jako zasady zdrowego systemu państw narodowych. Bez tego pierwszego etapu żadna budowa dalsza i trwalsza nie byłaby możliwa, po jego dokonaniu zaś okazuje się konieczna. Drugi etap, który my mamy zrealizować, to ujęcie państw narodowych Europy Środkowej w jeden spójny system, oparty na woli tych narodów, a dający im łącznie siłę samoistną, to jest moc *"pierwszej wielkości"* w klasie Francji, Niemiec, Rosji.

Urzeczywistnienie tego drugiego etapu nie polega na wysunięciu *hasel* czy deklaracji, lecz na stworzeniu warunków w których jedność narodów środkowo-europejskich najłatwiej się może dokonać. Hasła mają swoje znaczenie, deklaracje, zawiązki przyjaźni również. Ale znaczenie ich jest względne, to znaczy polega na ułatwieniu stworzenia warunków politycznych. Warunki te zdecydować także o zagadnieniach wtórnych, jak nazwy, formy prawne i cała wogóle strona zewnętrzna. Istota sprawy polega na tym, że istnieją wspólne cele i wspólne niebezpieczeństwa. Wobec tych niebezpieczeństw państwa się łączą dla ich uniknięcia. W dzisiejszych czasach prosty sojusz wojskowy w dawnym tego słowa pojęciu traci wszelkie znaczenie. Nowoczesny sojusz obejmować musi nie tylko porozumienie dyplomatyczne i sztabów, ale także ścisłą współpracę resortów gospodarczych, komunikacyjnych, populacyjnych, słowem całego rządu i to nie tylko na

najwyższym szczeblu organizacyjnym, a więc wymaga nawet pewnego zbliżenia urządzeń państwowych. Kto ogrom tych spraw sobie uświadomi w pełni, przestanie przywiązywać wagę do magicznych nazw, mających wszystko rzekomo rozwiązać.

Polska leży w tym samym miejscu Europy co w r. 1917-ym. Ale układ sił w świecie uległ dość poważnym przesunięciom. Zmniejszyła się siła Francji, zmniejszy niewątpliwie po tej wojnie (i po niej dopiero) siła Niemiec, wzrosła niezmiernie siła Stanów Zjednoczonych, wzrosła chwilowo ale ogromnie siła Japonii, pojawiły się Chiny i ta wojna w gruncie rzeczy zadecyduje, które z nich będzie wielkim mocarstwem Dalekiego Wschodu. Najważniejsza wszakże zmiana z naszego punktu widzenia zaszła w Europie wschodniej. Rosja z r. 1917-go stała w przededniu rewolucji, z czego nikt tak dobrze nie zdawał sobie wówczas na Zachodzie sprawy jak Dmowski. Od dziesiątków lat słabła ona i rozkładała się wewnętrznie, aby na dwa dziesiątki lat przestać być w ogóle mocarstwem. Obecnie pojawiła się znowu jako wielkie mocarstwo i to uzbrojone w najsilniejsze narzędzie ekspansji, jakie znamy od czasów napoleońskich, w postaci ideologii i organizacji komunistycznej, działających na całym świecie. Dmowski przewidywał i zniknięcie Rosji z rzędu wielkich mocarstw i jej powrót. Rozumiał też i dawał temu wyraz w późniejszych swoich pismach, jak dalece komunizm komplikuje stosunki polsko-rosyjskie. W roku 1924 pisał:

"Istotą naszej polityki względem Rosji nie były kombinacje z jakimikolwiek czynnikami przemijającymi: widzieliśmy konieczność porozumienia z tym, co jest trwałe w Rosji, z narodem rosyjskim, rozumieliśmy znaczenie tego porozumienia i dla nas i dla Rosji. Zrządzeniem losu urzeczywistniliśmy ostatecznie cel naszych wysiłków bez udziału Rosji. Skutkiem tego w świadomości polskiej zbyt zatarło się poczucie, że ułożenie na przyszłość naszego stosunku do Rosji jest najważniejszym zadaniem całej naszej polityki, że w tej dziedzinie podstawą dalszej polityki naszego państwa musi być to, cośmy zapoczątkowali. Rządy sowieckie w Rosji przemieniają, ale Rosja zostanie i stosunek do tego, co w niej trwa, do narodu rosyjskiego, jest ważniejszy od stosunku do przemijających rządów".

"Nasz dalszy stosunek do Rosji, to, co w tej dziedzinie zrobimy, będzie więcej, niż cokolwiek innego, sprawdzianem naszej wartości politycznej, naszej zdolności do kierowania losami własnego państwa".

Sprawa stosunku Rosji do Europy Środkowej nie jest rzeczą błahą. Rosja obecna niedwuznacznie daje do zrozumienia nie tylko słowami ale i czynami, że sobie nie życzy żadnego systemu niezależnego u swych zachodnich granic. Zajmuje ona ściśle takie stanowisko, przynajmniej oficjalnie jak Rosja carska w r. 1917-ym, t.z.n. żąda *Carte Blanche* dla siebie w sprawie urządzenia obszarów na wschód od Niemiec. Tylko, że to jest Rosja komunistyczna, która doszedłszy do Odry i górnej Łaby, wciągnięta będzie, nawet wbrew swym zamiarom, siłą wypadków aż po Ren, jeśli nie po Gibraltar. A imperium od Kamczatki po Ren jest nie do zniesienia dla innych wielkich mocarstw. Rosja zatem będzie musiała wybierać między ułożeniem stosunków z samodzielną Europą Środkową a walką z całym światem. Jest to nieublagany ciąg następstw, wynikających z układu sił w świecie.

STANISŁAW KOWALSKI

ZADANIA I METODY

(garść uwag)

1.

EMIGRACJA nie jest tylko zbiorowiskiem przypadków i nie stanowi tylko dowolnej zależności od zygawkowej linii losów wojny. Emigracja, poczęta z przymusowej tragicznej improwizacji, otrzymała cel określony i konkretny w chwili, kiedy z rozsyпки poczuła się pewną społeczną całością. Z ludzi rządzonych grą przypadku staliśmy się ludźmi, których zadaniem jest stanąć nad przypadkiem. W imieniu własnym i w imieniu okupowanego Kraju. Celem i uzasadnieniem istnienia emigracji jest przygotowanie przyszłości w tych dziedzinach, w których Kraj jej przygotować nie może.

Te prace dzielą się na trzy grupy spraw: pierwsza — odebranie wrogowi ziemi i ludzi, druga szczegółowe, fachowe opracowanie wszystkich funkcji organizmu państwowego, przerwanych przez wojnę, pogmatwanych przez wprowadzenie obcych prawodawstw i obcej techniki rządzenia, wreszcie trzecia — ustawienie ram przyszłego, właściwego życia. Kolejność i następstwo hierarchiczne jest właśnie, takie: naprzód zwycięstwo nad wrogiem, następnie aparat państwowy, a w końcu przyszły ustrój.

Do wykonania tych wielkich zadań powołana jest emigracja. Rząd, instytucje polskie i sama społeczność emigracyjna. Przez środek tego środowiska winna iść linia rygorystycznego rozdziału na dwie części spraw, które muszą być traktowane odmiennie ze względu na ich naturę. Pierwsza część obejmuje sprawy fachowe: wojnę i aparat państwowy, druga: życie polityczne i ustrój. Sprawy pierwszej grupy winny być absolutnie wyjęte z pod wszelkiego, najdrobniejszego nawet wpływu życia codziennego środowiska, przypadku i dowolności. Kontrolowane być muszą najskrupulatniej, ale przez powołane do tego czynniki kontrolne, odizolowane od demagogii. Decydowane być powinny na zasadach rzeczowych i apolitycznych, a w każdym razie nie w zależności od kaprysu, zakulisowych interwencji, uraz koniunkturalnych wielkości, które interweniuja w sprawach ważnych bez zbadania ich istoty. Sprawy grupy drugiej odmiennie: muszą być załatwiane w drodze swobodnej, wolnej, nieskrępowanej gry sił politycznych, choć i one — rzecz prosta — powinny stronić od metod kuchennych, czyli drogi załatwiania czegokolwiek poza normalnymi urządzeniami politycznymi państwa.

2.

Od pierwszych tygodni po wybuchu wojny należałem do tych ludzi, którzy uważali za rzecz nieodzownie potrzebną — zbliżenie się bardzo znaczne wszystkich grup ideowych i politycznych, które znalazły się poza Krajem. Przed emigracją stanęły wielkie zadania, które muszą być wykonane. Do wykonania tych zadań jest nas bardzo mało, stanowimy element bardzo niejednorodny, pokratkowany wzduż i wszerz według najrozmaitszych podziałów, ideowych, politycznych, fachowych

i intelektualnych. Jeśli by się miało przy doborze ludzi do wykonywania prac przykładać owe klucze podziałów a nie zasady doboru rzeczowego — wiele spraw nie byłoby wykonanych w ogóle, tak właśnie, jak nie jest wykonanych do tej chwili.

Sprawa wygląda trochę podobnie, jak w równaniach algebraicznych. W równaniu stoją wartości przed nawiasami i wewnątrz nich. Te, co stoją wewnątrz są w każdym elemencie różne. Ale są wartości dla całego równania jedne i te same. To, co stoi przed nawiasami różniczkowanej odmienności jest dla wszystkich równe, dla socjalistów, dla endeków, dla ludowców i dla partii pracy. Jeśli tak jest, a raczej jeśli tak być powinno zawsze w normalnych, pokojowych czasach, to tym bardziej tak będzie w czasach przełomu i próby. Miejsce dla przednawiasowych wartości rozszerza się, wewnątrz nawiasów się kurczy: pierwsze powiększa się właśnie o te rzeczy, które są wspólne dla wszystkich, które powinny być układane na zasadzie fachowości i rzeczowości, na zasadzie kwalifikacji, wykształcenia, mózgu, gatunku rąk, temperamentu i pracowitości. To właśnie wszystkie biura planów, administracje, działy gospodarcze, handlowe, morskie i przemysłowe, to właśnie te granice, radia, propagandy i biura badań.

W naszym środowisku emigracyjnym tej podziałowej linii rzeczowości i szacunku wobec zadań nie bardzo można dostrzec. *Bardzo wiele dziedzin, bardzo wiele prac, które muszą być wykonane - wykonywane są nie w skali, w której powinny być wykonywane, ale w skali, na którą pozwalała koniunktura wewnętrzna — polityczna, koniunktura personalnych animozji i koniunktura improwizowanego przypadku.*

My w sprawach również i pozaustrojowych więcej i chętniej czujemy się mikroskopijną ale kompletną całością polityczną, aniżeli zespołem ludzi, których los pasował i, co tu gadać, awansował na wykonawców, na speców, na wyrobników. Obserwując środowisko naszej emigracji, dochodzi się do wniosku, że ambicja zbiorowa przechylać się zaczyna zdecydowanie od odgrywania wyłącznie roli grupy politycznej. Logika i sens mówi akurat coś przeciwnego: pełne życie polityczne rozwinąć się będzie mogło po wygraniu wojny w Kraju, teraz wystarczy narzucenie konturu, pracy realnej natomiast Kraj w tej chwili prowadzić nie może, a w chwili kiedy będzie już mógł, będzie zapóźno, ponieważ wyniki jej potrzebne są właśnie na moment przełomu.

To jest tragiczne, że odwracamy następstwo faktów i prac. Więcej czujemy się całością polityczną, aniżeli grupą ludzi, których los powołał do wykonywania wielu konkretnych zadań. Przed którymi postawił nie tylko te polityczne konkretne zadania. Ale obok nich wiele, wiele innych. Takie, takie i takie. Spójrzmy prawdzie w oczy: a jeśli tych nałożonych zadań emigracja nie wykona? Przy niewykonywaniu tu, jakoś się zawsze uda zablagać sumienie. Ale tam: z przeciw-

oczy, które będą patrzyły i usta, które będą pytały — to będą oczy i usta tych, którzy zostali. Ojca, żony, brata, matki. Będą pytali. Co się im odpowie na usprawiedliwienie, że rzeczy nieodzowne nie zostały przez nas wykonane? Ze dlatego, iż ktoś był endek. Ze trzech zgniółków poszło i wywalilo pięknie rozpoczętą robotę. Ze spec socjalista nie mógł pracować ze specem ludowcem. Ze nie można było uruchomić pieniędzy na ważną robotę, bo jacyś tam urzędnicy nie mogli pojąć jej sensu. Czy tak?

3.

Prace, jakie stoją przed nami nie mają nic z dowolności. Układ warunków, w jakich żyje emigracja i w jakich jej pracować przychodzi, jest już w tej chwili bardzo wyraźnie zarysowany. On to wyznacza w sposób celny i niewzruszony ilość, jakość i gatunek rzeczy, które mają być wykonane. Nad obecną fazą naszego życia emigracyjnego wisi dokładny, jak tabliczka mnożenia i nienaruszalny, jak Dekalog, spis rzeczy, które muszą być zrobione.

Wiedzą o tym jednostki, nie wie o tym środowisko. Jednostki wiedzą, ale nie mogą wykonać, środowisko nie wie, chociaż tylko ono zbiorowym zespolonym wysiłkiem mogłoby, co trzeba zrobić. Proszę dobrze rozglądać się po otoczeniu: codziennym, ustawicznym teraz zjawiskiem emigracyjnym jest walka jednostki o posłuch, o zrozumienie, o pomoc. Mamy urodzaj na wynalazców, a raczej takich, którzy zachowują się jak wynalazcy, choć ich prawda jest prosta, oczywista i dawno wynaleziona. Droga tych ludzi, z najróżniejszych fachów, dziedzin, specjalności, zawodów, jest podobna najczęściej drodze ludzi, pragnących narzucić swoją myśl świadomości zbiorowej. Ponieważ zdają sobie sprawę z tego, jak wiele od zrozumienia ich prawdy przez wszystkich zależy, zabiegają, jakie czynią mają najczęściej ton błagania i próby. Zrzucając pychę z serca, przekonują i przedkładają, powtarzają i demonstrują, popychają myśl zbiorową cał po calu do zrozumienia. Szczęśliwi są, gdy po miesiącach takiej pracy, nagle, któregoś dnia treść ich zabiegów staje nagle w świadomości zbiorowej w ostrym, jaskrawym, nieświadczym się już teraz zbyć i zepchnąć kształcie.

Pierwszy etap wysiłku jest dokonany. Teraz powinna się zacząć realizacja.

Główna pretensja wobec emigracji streszcza się w zarzucie, że jest ona jako całość za mało wynalazcza w myśleniu i za gnuśna w pracy. Nie rozumie, że jej pierwszym obowiązkiem jest stać się jednym wielkim czynnym mózgiem i jedną parą pracowitych rąk. W takiej sytuacji, w jakiej się znajdujemy, cała sfera ubocznych nalotów, siatki komeraży, powiązań, zabiegów opłatających sam nagi fakt pracy, sam czysty proces idący od myśli do mięśni, tak silnie związany z życiem społecznym w czasach pokojowych, teraz musi odpaść. Nie ma tak ważnych imponderabilii tak doniosłych "względów ubocznych", tak potężnych zastrzeżeń personalnych i politycznych które by mogły usprawiedliwić zahamowanie, albo tylko opóźnienie owoych procesów.

Nie sądzę aby w naszym środowisku emigracyjnym brak było mózgowi mogących zaprojektować konieczne do wykonania prace. Nie sądzę również aby nie było dość energii potrzebnej do ich wykonania. Przeciwnie. W zakresie i jednej i drugiej istnieje

olbrzymi kapitał który może być — wbrew pozorom — każdej chwili uruchomiony, kapitał bezinteresownej ofiarności która jest w każdym Polaku na emigracji pod rzeszą zniechęcenia, znużenia a nawet cynizmu. W jednej chwili, jeśli się tylko chciało można przestawić energię topioną w narzekaniu w potężny ładunek energii kinetycznej.

Intelekt i energia jest. To, że mimo ich istnienia, emigracja nie jest zespołem sprawnych komórek pracy w stopniu, jakiego wymaga sytuacja tej wojny, należy przypisać rzeczy, dla której nie ma lepszej nazwy jak — magia.

4.

Ustalić pewne potrzeby, konieczność pewnych prac nie jest rzeczą trudną, ale trudną i bolesną jest rzeczą ustaliwszy pewną nieodwołalność widzieć, że jej wykonanie jest niemożliwe. Jest rzeczą ludzką cofać się przed cierpieniem i bezpłodnym zdzieraniem sił. Ponieważ zgóry zna nieprzewidywane trudności i niemożliwość ruszenia z miejsca ciężkiej maszyny środowiska, woli w ogóle unikać wgłębiania się w problematykę prac. To zwykły normalny instykt samozachowawczy. A nad tym wszystkim unosi się przekleta, niepojęta magia. Stanowi ją właśnie ten nastrój, czy ten zespół warunków, który sprawia że elastyczność czynności zespołowych naszego środowiska emigracyjnego jest niesłychanie niska. Potrzeba nieproporcjonalnie dużo sił na przeprowadzenie najdrobniejszych spraw. Panuje bezwład i paraliż sprawności. Wszystko wydaje się być nastawione na hamowanie, nic na ułatwanie. W okresie wojny mechanicznej i zmaszynowanego udziału w niej człowieka środowisko emigracyjne walczącej Polski należałoby sobie wyobrazić w postaci maszyny, w której gardziel rzuca się zadania po to, aby najszybciej, jak tylko można, wypadały produkty gotowe i bez zarzutu. Ale ten aparat polski ma rozstrojony mechanizm, piasek chrząści w trybach.

W kręgu takiej magii instykt samozachowawczy w postaci trzęwego realizmu nakazuje przezornemu człowiekowi, planującemu jakąś pracę, wpraw ją przymierzyć do tak znacznie, ale tak bez powodu obniżonych możliwości. Wobec tego wszystko trudniejsze odpada, załatwia się tylko rzeczy najłatwiejsze, które zdolne są przesłiznąć się przez ucho igielne owych wszystkich restrykcji, zastrzeżeń, protestów, ograniczeń, dąsów, kontrpropozycji i pustego gadania.

Instykt samozachowawczy odradza w tym stanie rzeczy domyślać problemy do końca. Zbytnią ciekawość myślenia i nadmierna płodność mózgu ustawiłaby zbyt wielki kontrast między tym, co trzeba, a między tym, co można. Wytwarzałyby za wielkie ciśnienie wyrzutów sumienia, co czyniłoby nieznosnym życie codzienne. Powstaje zjawisko cząstkowego myślenia, myślenia na wyrywki.

Straszne zjawisko. I jakieś niedawne czasy przypominające.

Jest rzeczą pewną, że nie było okresu w naszej nowej historii, w którym by któryś z ważnych problemów zupełnie był ominięty. Nie. Natomiast bardzo wiele razy przedstawiano zagadnienia w postaci cząstkowej, niedomyślane do końca. Proces myślenia nad nim przerywano w pewnym miejscu, petryfikowano takiego embriona i przedstawiano go jako kształt już zupełnie rozwinięty. A później przychodziły rozkoszne zdziwienia: jako, przecież mieliśmy bitną armię, wytwarzaliśmy

doskonale działał przeciwlotnicze i samoloty bombardujące, mieliśmy zręczną politykę zagraniczną i koncepcję na budowanie samochodów "Fiata", przecież był obóz zjednoczenia narodowego i wezwanie do jedności. Wszystko było. Tylko każda rzecz z jakąś osobną skazą. Myślało się do tego miejsca, dokąd było wygodnie. Gdy zaczynały się trudności, albo gdy trzeba było z czegoś osobiście zrezygnować — myślenie się kończyło.

Te lekcje przeszłości nie powinny być lekceważone, zwłaszcza dzisiaj.

Wiele mówi się o planowaniu na powojnie. Planowanie to przecież nie żadne odkrycie, to rzecz znana, stosowana tylko nie do tego, do czego chce się ją stosować teraz. Planowanie — to poprostu organizacja. Organizacja zaś, to wbrew potocznemu mniemaniu, nie tylko mechaniczny rygor — to naprzód 50% przewidującej myśli, a następnie 50% dokładnego jej wykonania. To właśnie myśl i energia. Myśl odważna i obowiązkowa, energia celowa, systematyczna, nieustanna, codzienna i konsekwentna.

Jakżeż można się spodziewać, że po wojnie nagle urodzą się jakieś potężne zdolności planowania, skoro nie potrafi się planować i wykonywać planów — teraz.

5.

Pisząc ten artykuł, ciągle mi się wydaje, że nie dość jasno wyrażam rzecz, której doniosłość nie daje mi spokoju, której wypowiedzenie ciąży mi jak najtrudniejszy obowiązek, obowiązek gorzki i dojmujący. Może dlatego tak trudno zagadnienie zawrzeć w słowach prostych, że odczuwa je każdy, że powracali do niego z powodu stu okazji wszyszy. Ze więc istnieje ono właściwie i podzielane jest przez wszystkich, ale wytarło swe krawędzie na stu trudnościach, na tysiącu zawodach i stało się liczmanem bez treści, kształtem okrągłym i śliskim.

6.

Aby mu zwrócić z powrotem świeżość pełny walor, trzeba zagadnieniu przywrócić znów całą jego szorstkość, a nawet zaczepność. Rozepnijmy je na przykładach. Można by je czerpać z każdej właściwie dziedziny. Niech tedy będą przykłady z dziedziny propagandy.

Propaganda polska istnieje, jest jej dużo, w niektórych wypadkach jest gatunkowo bardzo dobra. A mimo to trzeba sobie powiedzieć, że zagadnienie propagandy polskiej w tej wojnie nie zostało rozwiązane. Nie zostało rozwiązane z jednego zasadniczego powodu: nie wpływa ona z planu, z namysłu, z rachunku myśli, zależna jest od tego, co jej narzuca okoliczności. Planem naszej propagandy jest zmienna powierzchnia mijających dni. To, co powinno być tylko słuszną korektywą planu — zależność od nagłego aktualnego przypadku, staje się samym planem.

Jest banalnością podkreślać przelomowość tych lat, jednak muszę raz jeszcze to zrobić. Chodzi bowiem o to, że ze wszystkich przelomowych okresów, a nie szczędziło nam ich nasze stulecie, chwila obecna jest przelomem najgłębszym, zasadniczym, obejmującym sobą skalę stuleci, stykającym dwie mijające siebie epoki. Wstrząs sięga aż do fundamentów. Będą się teraz układały rzeczy, których siła obowiązywania sięgnie daleko w przyszłość.

To jedno. Ale jest i inny aspekt tego

samemu zjawiska. Tak się złożyło, że, z bardzo różnych powodów, w układzie tego okresu przelomowego Polska zajęła specjalne miejsce. Specjalnie korzystne miejsce, jakby można powiedzieć — wbrew swoim warunkom naturalnym. Jest rzeczą najbardziej tragiczną ze wszystkich, że suwerenny Rząd Polski musiał wyjść z Kraju, ale z tym wyjściem dokonało się coś, co by można nazwać przesunięciem Polski na lat kilka głęboko na zachód. Polska ruszyła ze swego miejsca geograficznego i usadowiła się na pewien okres w samym centrum zachodu. Niespotykana postawa Kraju pod okupacją, oraz niesłychane męstwo żołnierza polskiego jeszcze tylko zaostriżyło to zjawisko — uplasowania się w samym środku uwagi olbrzymiej części świata. Poprostu stworzona została taka sytuacja, że wszelkie automatyzmy zbiorowego myślenia państw zachodnich, dążące do wygodnego spychania dalszych zagadnień w załki wygodnych uproszczeń, nie mają okazji działać, że bieg wypadków wysunął nas pod samo spojrzenie największych materialnych sił kręcących życiem świata, że chociażby nie chcieli, muszą nas dostrzeżać i widzieć. Ze możemy się pokazać w pełni naszych problemów. Trzy czwarte tego, co potrzebne jest do skuteczności propagandy, zrobiły bieg wypadków i zalety naszego narodu — resztę muszą zrobić powołani do tego ludzie.

W najbardziej zwrotnej chwili dziejów nowożytnych bieg wypadków rzucił grupę Polaków w miejsce, gdzie się będą decydowały losy świata, a więc losy ich Ojczyzny. Jeśli sobie ktoś wyobraża, że ta grupa Polaków znalazła się w tym miejscu po to, aby zrobić tu małą Polskę, namiastkę Polski, polskie prowizorium, mozaikę polską "in partibus..." — ten się myli. Nie tylko to: ten grzeszy. My tu jesteśmy zupełnie po co innego. Polska będzie w Polsce. Tu przede wszystkim — o Polsce!

7.

Jak nas widzi Anglik po dwóch latach uzupełniającej czyni wojenne propagandy? Dokładnie tak samo, jak przed dwoma laty. W międzyczasie wpychano w niego tysiące szczegółów, drobiazków, uzupełnień, dodatków rozsypanych po prasie i po radio, naszeptanych przy spotkaniach, wrosłych już w zniechęcone truizmy o Polakach. Ale syntetyz jak nie miał, tak nie ma. Co najwyżej (jeśli zniechęcenie nie uruchomiło przekory a niedociąganie szczegółów nie podważyło zaufania) otrzymał trochę szczegółów o przesładowaniach w Polsce, dowiedział się o tym, że Polak umie cierpieć i dobrze walczyć, o czym wiedział i przedtem.

Z miążgi codziennych zabiegów nie wyrósł konkretniejszy rysunek żadnego ze współczesnych problemów polskich, bo na to, żeby mógł w świadomości obcego środowiska wyrósć taki rysunek musiałby istnieć plan, opracowany przez największy wysiłek mózgu kilku ludzi, realizowany przez dalszych kilkunastu i roznoszony przez kilka tysięcy.

Celem propagandy nie jest mówienie ważnych rzeczy jakbądź, celem propagandy nie jest mówienie wszystkiego, celem propagandy jest powiedzieć, ale za to dobrze powiedzieć, tak aby to zostało, kilka najważniejszych rzeczy. Opinie zagraniczne o poszczególnych narodach nie są nigdy ani pełne, ani zupełne. Zawierają się zazwyczaj w kilkunastu czy tylko kilku uogólnieniach, powstałych najczęściej drogą przypadku, albo,

zręcznej i wrogiej inspiracji. Im dalej jakiś kraj leży, im mniej jego organizm polityczny zazębia się o gospodarkę kraju wytwarzającego opinię, tym tych uogólnień jest mniej i tym są one chłodniejsze. Jeśli chodzi o opinię anglo-saską w stosunku do Polski, to rok 1939 zastał na rynku tutejszym kilka bardzo błędnych i bardzo nam nieprzychylnych stamp określających, którymi wyczerpywała się cała wiedza o problemach polskich nie tylko szcero-kich warstw, ale i sfer politycznych.

W międzyczasie do tych istniejących przy-byto kilka nowych opinii, tym razem niemal bez wyjątku dodatnich, ale dotyczących przeważnie zalet Polaków w okresie wojennym. O cechach Polaków konstruktywnych, organizatorskich, ekonomicznych i politycznych w okresach pokoju obowiązują opinie dotychczasowe. Nie chcę twierdzić, że nie należy zabiegać o rozpowszechnienie zalet bojowych i konspiracyjnych Polaków, i że nie będą one zupełnie miały wpływu na zakres udziału Polski i jej uprawnień w okresie ustalania warunków pokojowych. Chcę tylko podkreślić, że będzie to tylko, w tym świecie tak bardzo jednak przywiązany do realizmu, jedna grupa walorów, i że będą pytali o inne. Ponadto chcę powiedzieć, że tamte walory zrobią się niejako same, to znaczy postara się o nie sam Kraj i sam żołnierz, wystarczy im tylko nie przeszkadzać, dając możliwość dojścia do głosu, natomiast te drugie, pokojowe walory trzeba dopiero wypracować, trzeba je w świadomości anglosaskiej ugruntować. Wydaje mi się, że się okłamuje samego siebie, jeśli robieniem propagandy nazywa się te drobne pomoce w gospodarowaniu wiadomościami o postawie Kraju i czynach polskiego lotnictwa. To jest prosta łatwizna. Chowanie się za te preteksty świadczy o zupełnym nierozumieniu zagadnienia.

Właściwym działaniem propagandowym jest zorientowanie się w istniejących na temat Polski uogólnieniach. Zbadanie ich, ustalenie ich genyzy i stwierdzenie stopnia prawdziwości. A następnie w miejsce istniejących a szkodliwych, wprowadzenie innych, prawdziwych i korzystnych. Zdaje sobie sprawę, że jest to działanie niesłychanie skomplikowane, bardzo długie i bardzo trudne. Ale jak świadczy wiele przykładów innych państw alianckich, właśnie na terenie anglosaskim zupełnie możliwe do wykonania. Tylko że do jego przeprowadzenia nie można podchodzić jedynie z dobrą wolą, zdolnościami improwizatorskimi i w o b r a z e n i e m o działaniu propagandowym, utworzonym na podstawie doświadczeń dziennikarskich z przed lat dwudziestu czy trzydziestu. Złożona wiedza socjologiczna, nowoczesna znajomość psychologii i niezmożona cierpliwość oraz konsekwencja — muszą stać u podstaw tego działania. W wypadku polskim o tyle łatwiejszego, że chodziłoby o popularyzowanie rzeczy p r a w d z i w y c h.

Zresztą nie tylko odnoszących się do współczesności polskiej. Propaganda powinna pokazać również kilka najważniejszych problemów z naszej przeszłości. Nam samym brak było zawsze takich opracowań dziejów Polski, w których by występowała nie sieczka faktów, ale najistotniejsze problemy naszych przeżytych w formie państwowej dziesięciu stuleci. Traktowaliśmy naszą historię przede wszystkim emocjonalnie, nie chcieliśmy się jej przyglądać poprzez refleksję i intelekt. Teraz to trzeba nagwałt odrabiać już nie dla siebie, ale poto, żeby o tym powiedzieć obcym.

Wybranie paru nurtów polskiej psychiki i polskiego charakteru, które niezmiennie biegną przez całą naszą historię starczy za najwspanialsze deklaracje wolnościowe wybierane w okolicznościowe frazesy. Wy-luskanie ze zdarzeń historycznych stałych t e n d e n c j i i niezmiennych i n k l i n a c j i wszystkich pokoleń polskich od X wieku poczynając, podkreślenie ich ustawiczności i upartego trwania daje nam legitymację wspanialszą od tych, którymi się legitymują społeczeństwa bardzo zaawansowane i postępowe.

Zadeklarowanie, że Polska będzie tolerancyjną — jest ostatecznie tylko przyrzeczeniem. Ale pokazanie dziejów Gdańska, w którym od kilku stuleci ta tolerancja była prawdą dnia codziennego dla każdego człowieka, dla każdego przekonania, dla każdego języka, dla każdej wiary i to w formie ś w i a d o m e g o wyrzeczenia się — ma znaczenie nieodparte. Wystarczy zapytać, które z państw najbardziej dziś wolnościowych byłoby zdolne do podobnego samoopanowania się, żeby nie wchłonać w swój organizm narodowy miasta, które jest kluczowym miastem najważniejszej arterii wodnej tylko dlatego, że się dało takie zobowiązanie. Stwierdzenie, że w Polsce będzie wolność sumienia i słowa jest ostatecznie tylko obietnicą. Ale pokazanie polskiego wieku XV i XVI, ale podkreślenie Polski jako azylu dla wszystkich religii, gnanych z całej Europy z Anglią włącznie, ale wyliczenie wszystkich wojen wolnościowych przez dwa blisko stulecia i podkreślenie, że w żadnej z nich nie brakło Polaków z motywów bezinteresownej ideowości — to ma znaczenie faktu, który płynie z założeń niezmiennych. A pokazanie problemu żydowskiego w Polsce, który w oczach świata przedstawia się jak jeden wielki pogrom. Czy nie prawdziwiej będzie, jeśli by się pokazało Polskę przez wieki stuleci jako schron bezpieczny dla Żydów, wyganianych przez „swoiste” „ustawy norymberskie” z Niemiec, Francji, Anglii i innych krajów zachodnich.

Ale istnieje jeszcze jeden wielki teren, na który propaganda nasza w najszlachetniejszej swej postaci wejść musi — to teren wielkich koncepcji ustrojowych i gospodarczych, jakie obecnie rysować się zaczynają, a które w najbliższym czasie muszą się już ostatecznie zacząć kształtować. Nie zgadzam się z tymi, którzy z tomtadracją pochopnością twierdzą, że istnieją już gotowe i ustalone wzory przyszłego szczęśliwego życia ludzkości. Tych wzorów jeszcze nie ma. Ale istnieje już wyraźna ich potrzeba, rozpoczęła się dyskusja, zgłoszone zostały różne projekty. Z tego przygotowawczego stanu wyłonią się niewątpliwie gotowe projekty i plany. Nie może się tak stać, aby miały być one doprowadzone do swego ostatecznego kształtu bez udziału Polski. Nie tylko dlatego, że powinny one uwzględniać jej żywotne i słuszne interesy, ale i dlatego, że Polska jest w możności właśnie na podstawie swego długiego doświadczenia historycznego być w tych wielkich pracach czynnikiem współtwórczym.

8.

To wszystko jest głównym zadaniem polskiej propagandy w czasie tej wojny, a nie odwalanie codziennych aktualnostek w rozkosznie improwizacyjny sposób. Takie zadania narzucają jednak odrębną strukturę naszych biur propagandowych. Złe powiedziane. Bo to właśnie nie mogą być biura. To muszą być laboratorja i studia,

zespolone jedną naczelną dyrektywą, w których musi zapanować dyscyplina i metoda seminariów naukowych i dyscyplina wielkich nowoczesnych firm gospodarczych. W takim ujęciu rzeczy każdy poszczególny dział, możliwie jaknajprecyzyjniej zorganizowany i działający, tworzy jednostkę rządzącą się prawami najbardziej dla danego rodzaju pracy odpowiednimi, a poddaje się naczelnej dyrektywie nie poprzez swe poszczególne części i poszczególne pracowników, ale poprzez swe kierownictwo.

To wszystko jest jednak zdaje się sprawą punktu widzenia, z jakiego się patrzy i następnie aranżuje prace polskie na emigracji. Walczą ze sobą dwie koncepcje, obie z dobrej wywodzące się woli, ale pierwsza ze złego zrozumienia rzeczy: koncepcja prowadzenia prac w taki sposób, jakby prowadziło się je w Polsce i druga — koncepcja przystosowania wszystkiego do istniejących prac, choćby trzeba było na czas wojny zrezygnować z ustalonych tradycyjnych szablonów. Tak się więc może złożyć, że ministerstwo jakiegoś działu pracy będzie musiało wyglądać nie jak ministerstwo, ale jak laboratorium. I laboratoryjne prawa w nim rządzić. Trzeba stać na gruncie rzeczywistości, jaka istnieje, a nie na obłokach rzeczywistości wymyślonej i prestiżowej.

Ponadto od bardzo znacznej grupy ludzi trzeba żądać poświęcenia, polegającego na tym, że na czas wojny wycofają się z wszelkiego politycznego działania w sensie wewnętrżnym politycznym, a będą działali wyłącznie jako specjaliści. Klucz polityczny, klucz partyjny w doborze ludzi przy najważniejszych pracach musi być usunięty, ponieważ inaczej nie podola się pracom. Proszę pomyśleć, jak bardzo marnotrawna selekcja dokonuje się przy wszystkich restrykcjach osobowych, jak bardzo przypadkowy jest skład naszej emigracji, jakże ciężkim zagadnieniem jest w ogóle problem personalny, jeśli zaś do tego jeszcze wstawi się komplikacje typu płaśu politycznego — nic nie ruszy z miejsca.

STANISŁAW KOWALSKI

Zmiana adresu

Z dniem 18 sierpnia M y ś l P o l s k a opuściła dotychczasowy swój lokal. Poczcie proszę prowi-zorycznie kierować pod adresem: 129, Randolph Avenue, London, W.9. O definitywnym adresie zawiadomimy w najbliższym numerze.

FINANSOWANIE PRZEBUDOWY

W MAJU, czerwcu i lipcu roku ubiegłego ukazała się w „Myśli Polskiej” seria artykułów omawiających wady strukturalne polskiego gospodarstwa narodowego oraz drogi wiodące do jego przebudowy. Ponieważ artykuł niniejszy stanowi jakby zakończenie serii, pozwalamy sobie przypomnieć główne tezy wówczas wysunięte.

Naczelną bolączką gospodarczą Polski było przeludnienie wsi wyrażające się w tym, że około 5 mln. ludzi żyjących z rolnictwa było w nim z punktu widzenia potrzeb produkcji zbędnych. Stan ten wywoływał szereg szkodliwych konsekwencji, z których ważniejsze były: konieczność wadliwego nastawienia produkcji rolnej na zboża chlebowe, przejadanie przez wieś większości jej produkcji (i to mimo notorycznego niedojadania biedniejszych chłopów), fatalna struktura agrarna polegająca na ogromnej ilości gospodarstw karłowatych (nie dająca się naprawić mimo szybko postępującej parcelacji ziemi posiadanej przez większą własność) i wreszcie w wyniku tego niski dochód narodowy połączony z istnieniem w rolnictwie polskim na dużych polaciach kraju — prymitywnej gospodarki naturalnej.

Naprawa tego stanu rzeczy jest możliwa tylko przez przeniesienie „zbędnej” w rolnictwie ludności do zawodów poza rolniczych. Odbywać się to musi zarówno drogą zatrudnienia w miastach całego przyrostu naturalnego wsi jak i przez jednorazowe wyciągnięcie ze wsi około 2 mln. ludzi (wraz z rodzinami 5 mln) do pracy w innych zawodach. Zabieg ten uzdrowi strukturę agrarną, gdyż umożliwi likwidację gospodarstw karłowatych, oraz stworzy warunki dla racjonalnej produkcji rolnej.

Absorbacja ludności przychodzącej do miast odbywać się będzie w pierwszym okresie głównie w t.zw. *inwestycjach kapitalnych* (budowa kolei, dróg wodnych i kołowych, elektryfikacja), w nowych i powiększanych zakładach fabrycznych oraz w budownictwie mieszkalnym, później również w handlu, komunikacji, zawodach publicznych itp.

Wartość koniecznych inwestycji nie da się dziś dokładnie określić, zależeć będzie między innymi od tego, jakie będą po wojnie nasze granice — w każdym razie jednak będzie ona szła w dziesiątki miliardów złotych. Artykuł niniejszy usiłuje dać odpowiedź na pytanie, czy Polskę stać będzie na zainwestowanie sumy tego rzędu wielkości w krótkim stosunkowo okresie kilkunastu lat. Starajmy się podejść do tego zagadnienia na razie nie od strony pieniężnej, lecz od strony dóbr realnych. Istota rzeczy polega na zatrudnieniu paru milionów osób, które dotychczas właściwie efektywnie nie pracowały. Czego potrzeba, by im pracę umożliwić? Dla uproszczenia rozumowania rozpatrzmy robotnika zatrudnionego przy budowie drogi. Potrzebuje on przede wszystkim łopaty i różnych innych narzędzi, które muszą być wytworzone w odpowiedniej fabryce metalowej, co znowu wymaga zwiększenia

produkcji hutnictwa żelaznego oraz uruchomienia nowych cegielni. Potrzebuje dalej kamieni, które dostarczyć musi kamicziolom, w którym trzeba będzie zainstalować prawdopodobnie nowe maszyny. Do tego celu jak również do rozbudowy hutnictwa czy fabryk metalowych trzeba nowych fabryk maszyn, a dla nich — nowych maszyn produkcyjnych czyli t.zw. obrabiarek. Wśród wymienionych dotychczas rzeczy mamy kilka, które trzeba sprowadzić z zagranicy: rudę żelazną dla hut, maszyny i obrabiarki, gdyż natchmiastowe podniesienie ich produkcji w kraju nie będzie możliwe z powodu braku dostatecznej ilości wykwalifikowanych sił. Ta część akcji inwestycyjnej wymaga zatem kredytów zagranicznych, gdyż w pierwszych latach po wojnie eksport nasz zapewne nie pokryje nawet bieżącego zapotrzebowania.

Prócz tego robotnik musi mieszkać, jeść i ubrać się. Możemy pominąć kwestię żywności, gdyż rolnictwo polskie bez specjalnego wysiłku może podnieść swą produkcję, zwłaszcza że różnica między tym, co jadł nowo zatrudniony robotnik gdy był na wsi, a tym, co będzie jadł przy swym nowym zajęciu, nie będzie zasadnicza. Odkładając chwilowo rozpatrzenie kwestii ubrania trzeba jednak przewidzieć zbudowanie nowych domów mieszkalnych, a przynajmniej baraków.

Widzimy zatem, że zatrudnienie nowych robotników nawet przy tak prostych robotach jak budowa dróg pociąga za sobą konieczność zwiększenia produkcji w najróżniejszych zakładach przemysłowych produkujących t.zw. dobra inwestycyjne, t.zn. dobra przeznaczone do zainwestowania (materiały budowlane, maszyny, wszelkiego rodzaju instalacje) w przeciwieństwie do dóbr przeznaczonych do bezpośredniego spożycia (ubrania, buty itp.); często będzie trzeba zbudować nowe zupełnie fabryki. To ze swej strony wymaga zatrudnienia znowu nowych pracowników oraz większego zużycia surowców i urządzeń. Dochodzimy tu do tych czynników, które łącznie ze wspomnianą kwestią kredytów zagranicznych określają ostatecznie granice nowego zatrudnienia. Zwiększanie zatrudnienia wymaga bowiem przeznaczania coraz większej części czynników produkcyjnych (praca ludzka, urządzenia wytwórcze) na wytwarzanie dóbr inwestycyjnych; ponieważ zaś ilość tych czynników jest zawsze ograniczona, trzeba zmniejszać z konieczności produkcję dóbr konsumpcyjnych. Tymczasem przy zwiększaniu zatrudnienia zapotrzebowanie na dobra te właśnie automatycznie wzrasta — tu wchodzi m.in. w grę pominięta wyżej kwestia lepszego ubrania nowych robotników.

Utrzymanie właściwego stosunku między produkcją dóbr inwestycyjnych a produkcją dóbr konsumpcyjnych stanowi jeden z najważniejszych problemów każdego planowania gospodarczego. W rzeczywistości polskiej problem ten będzie tym trudniejszy, że ilość urządzeń produkcyjnych gotowych do wytwarzania w ogóle będzie w chwili zakończenia wojny napewno bardzo niska. Gdy uwzględnimy zaś to, że okupacja pozbawiła

ludność w kraju najkonieczniejszych rzeczy, których trzeba będzie jej dostarczyć, zobaczymy, że skromną tylko część produkcji będzie można początkowo poświęcić na wytwarzanie dóbr inwestycyjnych, czyli na umożliwienie nowego zatrudnienia. Sytuacja poprawić się może znacznie, jeśli możliwe wiele potrzeb konsumpcyjnych pokrytych zostanie bezpłatną pomocą międzyalianską, t.zw. *relief'em*, a część dóbr inwestycyjnych lub urządzeń do ich wytwarzania otrzymamy z Rzeszy niemieckiej tytułem odszkodowań wojennych. W każdym razie nie można sobie wyobrazić, że zatrudnianie robotników to tylko kwestia planów technicznych i organizacji — wspomniane czynniki ekonomiczne wyznaczają mu nieprzekraczalne granice. Granice te będą ciasne do czasu zaspokojenia gwałtownych powojennych potrzeb konsumpcyjnych, co może potrwać 2 do 3 lata. Dopiero po tym okresie przejściowym możliwe będzie rozpoczęcie właściwej planowej przebudowy.

Techniczno-gospodarcze względy sprawiły, że uprzemysławianie innych krajów na świecie nie odbywało się nigdy w tempie zawrotnym; na ogół nie potrafiono zwiększać stosunku ludzi zatrudnionych w przemyśle do ogółu zawodowo czynnych szybciej niż o 1% rocznie. W naszych warunkach oznaczałoby to w pierwszym okresie przebudowy rocznie 230 do 300 tys. ludzi, co pokrywałoby się prawie z przewidywanym przyrostem naturalnym wsi polskiej. Wyciąganie ze wsi do miast dalszych ilości będzie zapewne możliwe dopiero po pokonaniu pierwszych trudności rozwojowych przemysłu (ok. 5 lat po rozpoczęciu planu) lub w razie szeroko bardzo określonej zagranicznej akcji kredytowej.

Droga do szybszego rozładowywania przeludnienia wsi mogłaby iść tylko po torach naśladowujących system Rosji Sowieckiej. Oznaczałoby to tak znaczne obniżenie stopy życiowej szerokiej warstw, że odbiło by się ono bezpośrednio na żywotności narodu i spowodowało prawdopodobnie (tak jak to miało miejsce w Rosji) obniżenie przyrostu naturalnego. Ceny takiej naród polski za przebudowę strukturalną napewno zapłacić nie będzie chciał.

Dotychczas rozumowaliśmy w sposób abstrakcyjny operując tylko kategoriami wielkości i procesów fizycznych z rozmyślnym pominięciem kwestii finansowej. Wiemy jednak dobrze, że w rzeczywistości jest inaczej. Wartości realne nie są zamienne wprost na inne także wartości, robotnik np. za wytwór swej pracy nie otrzymuje bezpośrednio artykułów żywnościowych, ubrania czy mieszkania. Epoka nasza tym się różni od epoki wymiany naturalnej, że wymianę dóbr ułatwia specjalny w tym celu stworzony środek, tj. pieniądź. Będąc środkiem wymiany reprezentuje on w rękę każdorazowego posiadacza jego siłę kupną; naturalnym bowiem dążeniem każdego człowieka jest bądź zamienić pieniądź na wartości realne zaspakajające jego potrzeby obecne (tzn. wydać pieniądź) bądź zachować go na zaspokojenie potrzeb mogących wyniknąć w przyszłości (t.zn. oszczędzić pieniądź w formie przechowywania banknotów czyli *tezauryzacji* lub w formie złożenia do banku czy kupienia papieru wartościowego). Widzimy zatem, że popyt nie jest równoznaczny z sumą pieniędzy w obiegu; jeśli chodzi o popyt aktualny, to jest on mniejszy o tę część obiegu, która jest tezauryzowana,

jeśli zaś mamy na myśli popyt potencjalny, to musimy do obiegu dodać t.zw. pieniądź bankowy, tej, sumę wkładów pomniejszoną oczywiście o rezerwę kasową.

Funkcję swą reprezentowania popytu spełni pieniądź dobrze tylko wtedy, gdy zapewni zapotrzebowanie dóbr i usług w ten sposób by popyt ten i ich podaż (tj. produkcja) wyrównały się na najwyższym poziomie. Jednym słowem istnieje pewna teoretyczna optymalna ilość pieniędzy, która pozwala na utrzymywanie równowagi gospodarczej przy wysokim zatrudnieniu. Dbanie o to by postulat ten został spełniony, jest treścią t.zw. polityki pieniężnej.

Politykę pieniężną prowadzi państwo samo lub za pośrednictwem banku biletowego, t.zn. tej instytucji, która emituje banknoty. Dopóki wierzący w t.zw. automatyzm gospodarczy, ilość emitowanych banknotów musiała stać w pewnym stosunku do zapasu złota. Taką klasyczną politykę pieniężną prowadzono w Polsce w okresie kryzysowym. Gdy na skutek wycofywania kredytów zagranicznych po roku 1929 zapas złota się kurczył i spadało pokrycie obiegu, zastosowano restrykcje kredytowe i zmniejszono obieg (t.zw. polityka deflacyjna). W skutek tego popyt zaczął się zmniejszać, a produkcja spadać; mała ilość pieniądza w rękach ludności stała ponadto w sprzeczności z dużą ilością dawniej wyprodukowanych towarów, nastąpił zatem ogólny spadek cen, nienadążający jednak za spadkiem popytu i zaczęło się łapanie równowagi na coraz niższym poziomie produkcji i zatrudnienia.

Odwrotną, ale równie błędną politykę stosowano w okresie wielkiej inflacji (1921–23). Deficyt budżetu państwowego spowodowany nienależnym zorganizowaniem dochodów państwowych i trudnościami okresu powojennego zmuszał do druku coraz większych ilości banknotów na pokrycie bieżących wydatków państwowych, głównie na opłacanie pensji urzędniczych. W ten sposób szybko powiększany nominalny popyt nie stał w żadnym stosunku do możliwości produkcyjnych zniszczonego kraju. Ceny zaczęły zwyżkować, deficyt budżetowy rósł, następowało dalsze powiększanie obiegu i tak w kółko.

Na tych dwóch przykładach widzimy skutki, jakie wywołuje niewłaściwa ocena istotnej roli pieniądza w życiu gospodarczym kraju. W pierwszym wypadku trwano w wierze w magiczną siłę złota jako "pokrycia" i regulatora obiegu, w skutek czego zmuszono do beczynności realne siły produkcyjne, tj. człowieka i zainwestowany kapitał wytwórczy (budynek, maszyny urzędzenia). Był to okres dominowania "czystych" finansów nad rzeczywistymi siłami ekonomicznymi. W drugim wypadku nie pamiętano o tym, że pieniądź sam w sobie nie jest żadną wartością, ani nie może stworzyć nowych wartości. Zdrowa polityka pieniężna nie może być zatem oderwana od ogólnej polityki gospodarczej i musi ułatwiać najbardziej produktywnie użycie zasobów danego kraju. Jeżeli w okresie przebudowy polskiego gospodarstwa narodowego naczelnym zadaniem polityki gospodarczej będzie zatrudnianie nowych robotników, to polityka pieniężna musi być ekspansywna w takiej mierze, by umożliwić zatrudnienie w naj-

szerszym stopniu. Tylko wówczas pieniądź nie stanie się przeszkodą w wykonaniu programu gospodarczego, który będzie fizycznie możliwy. Nie spodziewamy się jednak po pieniądzu żadnych cudów. Granice rozszerzenia zatrudnienia określone są możliwościami technicznymi — gospodarczymi, o których mowa była na początku artykułu i żadne zwiększenie ilości pieniądza możliwości tych nie rozszerzy. Jeśli już nie będzie do dyspozycji niezatrudnionych sił ludzkich (w Polsce grozi to jedynie w zakresie robotników wykwalifikowanych i techników), czy koniecznych środków produkcji lub też dostatecznych w stosunku do potrzeb zatrudnionej ludności środków konsumpcyjnych, nastąpi zmniejszenie równowagi między popytem i podażą; zacznie się pogoń za wartościami realnymi i powstaną objawy inflacyjne, które muszą w ostatecznym wyniku zniweczyć najlepsze zamierzenia gospodarcze. Powtarzamy, tempo ekspansji pieniężnej (kredytowej) musi odpowiadać fizycznym tj. technicznym — gospodarczym możliwościom ekspansji produkcji.

Część środków produkcji i dóbr konsumpcyjnych musi być, a część może być sprowadzona z zagranicy. Ilość dóbr importowanych większa bądź możliwości produkcyjne, bądź podaż środków konsumpcyjnych i pozwala w ten sposób na szerszą ekspansję kredytową i na utrzymanie równowagi popytu i produkcji na wyższym poziomie.

Wreszcie kilka słów o czynnikach poza pieniężnych oddziaływujących na popyt. Są najpierw pewne nieokreślone prądy w zyczących i pragnieniach społeczeństwa. W niektórych okresach ogólną tendencją jest oszczędzanie; przybiera ono w krajach gospodarczo rozwiniętych formę lokat bankowych lub kupna papierów wartościowych, a w społeczeństwach bardziej zacofanych lub w razie braku wiary w stałość pieniądza — formę tezauryzacji. W takich czasach popyt nie nadąża na ogół za produkcją, grozi zmniejszanie zatrudnienia i t.zw. kryzys gospodarczy. Wówczas państwo powinno podtrzymywać słabnący popyt przez rozszerzenie kredytu inwestycyjnego i stwarzanie nowego zapotrzebowania. Wypadek taki nie zajdzie prawdopodobnie w stosunkach powojennych w Polsce.

Przychodzą odwrotne okresy, gdy wszyscy nastawieni są na wydawanie pieniędzy, nawet nagromadzone przed tym oszczędności realizują się w aktualnym popycie. Następuje zwyżka koniunktury i wciąganie do produkcji coraz nowych mas robotniczych. Tu niebezpieczeństwem jest przeciągnięcie struny, gdyż zwyżkujące ceny i rozdęta produkcja mogą się gwałtownie załamać, gdy "gust" wydawania się skończy. Okres podobny może przyjść po zakończeniu wojny w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii i dziś już przewiduje się w tych krajach przeciwdziałanie "boom'owi" za pomocą odpowiedniej polityki gospodarczej.

Polityka państwowa posiada szereg środków, by kształtować popyt według potrzeb gospodarstwa narodowego, co będzie szczególnie ważne w okresie przebudowy. Zajdzie wówczas konieczność poświęcenia możliwie dużej części sił wytwórczych narodu na produkcję dóbr inwestycyjnych potrzebnych dla zwiększenia zatrudnienia, z drugiej zaś strony nowo zatrudnieni powiększą popyt

na dobra i usługi konsumpcyjne. Pierwszym sposobem jest polityka podatkowa, podwyższenie stawek podatkowych zmniejsza bowiem bezpośrednio siłę kupna społeczeństwa. Państwo może również przesunąć popyt w czasie popierania akcji oszczędnościowej lub przez wprowadzenie oszczędności przymusowych. Wreszcie można sztucznie obniżyć popyt drogą ograniczeń konsumpcyjnych, przy czym najczęstszą formą jest racjonowanie poszczególnych towarów. Wszystkie te środki zostały w pełni wykorzystane przez główne mocarstwa prowadzące wojnę i one to właśnie umożliwiły przeznaczenie tak wielkiej części produkcji na cele wojenne. Należałoby jednak przestrzec przed liczeniem na osiągnięcie poważniejszych rezultatów z tej akcji w Polsce. Niektóre z wymienionych środków mogą być wprowadzone, np. zajdzie prawdopodobnie konieczność racjonowania konsumpcji, lecz głównie ze względu na to, że bezpośrednio po wojnie ilość dóbr konsumpcyjnych na rynku będzie o wiele mniejsza niż zapotrzebowanie na nie. Wynagrodzenie jednak ludności za długie lata wojny, gdy okupant pozbawił ją możliwości zaspakajania najprymitywniejszych potrzeb, zmuszać będzie do ogólnego stosowania ograniczeń i stopniowego ich rozluźniania. Natomiast powinna być uniemożliwiona konsumpcja luksusowa, zwłaszcza jeśli musiałaby powodować import odnośnych towarów z zagranicy. Celowi temu służyć mogą zarówno zakazy przywozu i prohibicyjne stawki celne jak i odpowiednie podatki konsumpcyjne i silnie progresywne stawki podatku dochodowego. Wobec ogólnego zbiednienia społeczeństwa akcja taka będzie miała jednak raczej charakter społecznowychowawczy niż gospodarczy.

Natomiast od początku kierunku użycia oszczędności powinien być kontrolowany, a akcja inwestycyjna wprost kierowana przez państwo. W naszej sytuacji nie stać nas będzie na marnowanie najdrobniejszych sum na inwestycje niepotrzebne lub przedczesne.

Dopiero w parę lat po wojnie mogą zaistnieć warunki, w których konsumpcja będzie mogła być z powodzeniem regulowana. Nie będzie to prawdopodobnie bezpośrednio racjonowanie, lecz raczej pewna forma oszczędności przymusowych lub kierowania inwestycjami tak, by nie budowano lub rozbudowywano zakładów wytwarzających mniej potrzebne środki spożycia.

W świetle powyższych uwag odpowiedź na postawione pytanie, czy względy finansowe pozwolą na przebudowę gospodarczą w ciągu kilkunastu lat, wygląda tak. "Finansowanie" przebudowy polega przede wszystkim na odpowiednim i całkowitym wyzyskaniu sił wytwórczych narodu; ewentualne przeszkody nie mogą leżeć na polu finansowym, lecz raczej w ograniczonych możliwościach technicznych — gospodarczych. Jeśli warunki ułożą się pomyślnie, t.zn. 1) kraj nie zostanie ponownie zniszczony, 2) relief zaspoko najkonieczniejsze potrzeby konsumpcyjne, 3) odszkodowania wojenne od Niemiec lub kredyty zagraniczne zwiększą zainwestowanie — wówczas dokonanie przebudowy struktury gospodarczej Polski w ciągu lat kilkunastu jest możliwe. Natomiast, gdy warunki te się nie spełnią, wykonanie programu przedłuży się i spowoduje konieczność poważnych ograniczeń konsumpcyjnych.

NOTY I UWAGI

WIELKOŚĆ I CZAR POLSKI

Śmierć Generała Sikorskiego wywołała różnego rodzaju odgłosy w prasie brytyjskiej, inne w prasie codziennej, inne w tygodniowej, a jeszcze inne w miesięcznej. Różnice wynikały z niejednakowego rytmu tych wydawnictw. Prasa codzienna wracała do tematu kilkakrotnie, dzień po dniu, precyzując i uzupełniając swoje informacje; prasa tygodniowa zamieszczała artykuły bardziej syntetyczne. Prasa miesięczna, z natury swego oddalenia w czasie, nawiązywała do Gibraltarskiej katastrofy krócej: niektóre organy wogóle się nią nawet nie zajęły, a inne, w sposób znamieny, dla mentalności angielskiej charakterystyczny, wplotły swój hold w rozważania ogólne, Polski dotyczące.

Takim ciekawym sposobem odezwała się ostatnio *The Fortnightly*. Oto śmierć generała Sikorskiego posłużyła jej jako wskaźnik kierunkowy dla odszukania tego, co Polska światu w swej historii przyniosła. Zbliżenie nastąpiło tu raczej zadziwiające.

Wzmianka — jedyna — o zmarłym generale znalazła się na czole rubryki książkowej *"The Fortnightly Library"*, — ale nie z okazji jego książek. Oto jak brzmi kontekst tego holdu złożonego znanemu i Polsce:

"W owym ciągłym rwetesie panującym między wielkimi mocarstwami nie łatwo jest zachowywać w myśli losy i potrzeby narodów mniejszych; ponad wszystko nigdy nie powinniśmy zapominać o Polsce. Żaden naród nie cierpiał więcej, żaden nie zniósł mężniej swych cierpień. Teraz, cios szczyt wszystkiego, przychodzi ślepy czas losu, pozbawiający Polskę kierownika. Proszę tylko pomyśleć, czym byłoby dla nas, Anglików, gdyby taki cios padł na Churchilla?"

"Współczujące rozumienie jest tym najmniejszym co możemy ofiarować: na równi z całą Europą mamy bardzo wielki (*huge*) dług wobec Polaków. Ktokolwiek chce sobie o tym przypomnieć, może spędzić godziny nad jedną z najbardziej godnych uwagi biografii, jakie kiedykolwiek zostały napisane, mianowicie nad życiorysem", — nie generała Sikorskiego, jakby się tego czytelnik spodziewał, ale — "Pani Curie, pióra jej córki Ewy Curie".

Wspólnym mianownikiem tych dwu zjawisk ludzkich jest w oczach naszego Anglika — Polska, co nadaje jego wywodom duży i prawdziwy w oczach naszych walor. "Nie zamierzam (ciągnie dalej autor, p. Stephen Gwynn) dawać tu przeglądu tej książki, która wyszła cztery lata temu, chcę tylko dać wyraz memu wrażeniu, że nic nie mogłoby z równą siłą dać nam do zrozumienia i odczucia, czym jest Polska dla Polaków. Pani Curie, wtedy młoda studentka w Paryżu, o mały włos nie odmówiła oddania swej ręki młodemu i świetnemu profesorowi Piotrowi Curie, a to dlatego, że jego życie było związane z Francją, zaś straszliwa tęsknota (*tremendous homesickness*) gnęła ją do jej własnego kraju. Gdyby była uległa swemu uczuciu (t.zn. tęsknocie za krajem), czy radium zostałoby kiedykolwiek odkryte?? Ewa Curie daje nam do zrozumienia, że w tym zadziwiającym małżeństwie dwu prawdziwych umysłów (*true minds*) niewiasta była pierwiastkiem dążącym

ku temu, co zdawało się fantastyczne i niemożliwe". Po śmierci przedwczesnej męża, pani Curie przypadło w udziale krzewienie radioaktywności po całym świecie. "Jej córka daje nam odczuć, iż w czasie tych długich lat życia tej kobiety skoncentrowało się nienaturalnie w jej laboratorium, tak że nawet w pewnej mierze odsunęła się od swoich obu dziewcząt. Ale nigdy, w żadnym czasie nie zapomiała o Polsce... Cała część książki opisująca życie Marii Curie i jej rodziny w Polsce, zanim wybrała się do Paryża, tak pierwszym pozwołała mi na odczucie takie, jakbym sam żył w Polsce i poznał nie tylko urok tych ludzi ale i uciemiężenie pod jakim się znajdowali.

"Cóż za historia — i co za kobieta! Tylko rasa o rzadkich wartościach mogła wydać taką mieszaninę donkiszotowskiej szlachetności z intensywnie praktycznymi zdolnościami. Taka rasa zasługuje na to by być chronioną przez Europę jako skarb główny, a ze względu na swe geograficzne położenie wymaga ona takiego chronienia. Najlepszą drogą do tego jest — zakochać się w Polakach, a ktokolwiek tę książkę przeczyta będzie już zapewne na drodze do dokonania tego".

Koleje powstania tego ustępu były więc takie, że tragiczna śmierć generała Sikorskiego wywołała myśl o Polsce, a tajemnica tego kraju wciąż zakłęta dla Anglika naprowadziła go na wspomnienie o książce o pani Curie, dawno już, bo przed czterema laty wydanej.

Ustęp to piękny, wymowny, godzien Chestertona, bardzo symptomatyczny dla stosunku myśli angielskiej do Polski, którą się wciąż jeszcze bardziej szanuje czy podziwia, a nawet czasami kocha, niżli się ją rozumie.

Przyczyny tego są dawne i ciekawe. Polska — dla angielskiego myślenia, znajduje się gdzieś na przecięciu szlaków romantyzmu i jednak — rzeczywistości, i to tak, że żadnego z tych dwu członów odrzucić się nie da. Łatwiej byłoby powiedzieć: ot fantastyka i romantyzm! ale przeszkadza w tym wciąż ponawiająca się afirmacja Polski na gruncie niebylejakim, bo gruncie uchwytny wielkości. Zaś z drugiej strony, o ileż wygodniejszą byłaby tu rzeczywistość polską, gdyby nie ten rys romantyzmu, t.zn. bohaterstwa, nierozłączny z jej istnieniem, i właśnie wielkością!

Kto dobrze się wczyta w te pośrednie nieraz, głosy i odgłosy angielskie o Polsce, ten odczyta z nich i wskazówki dla prawdziwej, istotnej, poważnej i godnej imienia Polski — pracy dla sprawy polskiej na angielskim gruncie.

HORYZONT DYPLOMATYCZNY

Wojna doszła do krytycznego punktu politycznego. Krytyczny punkt strategiczny osiągnięty został już stosunkowo dawno, a mianowicie kiedy Sprzymierzeni przeszli poraż pierwszy do ofensywy przez wielką inwazję Afryki francuskiej. Politycznie wszakże wciąż jeszcze pozostawali w defensywie. Niemcy urządzali Europę i parali się problemami kontynentu. Sprzymierzeni po-przestawali na ogólnych deklaracjach i na

potępianiu zbrodni niemieckich. Wystarczyło wszakże, by stępa żołnierza alianckiego stanęła na najodleglejszym punkcie kontynentu: na oddzielonej od lądu stałego parokilometrowym przesmykiem Sycylii, aby wyrosły przed Sprzymierzonymi w całej rozciągłości wszystkie olbrzymie i zagmatwane problemy europejskie, nic nie prostsze i nic nie łatwiejsze niż przed wojną, a bardziej palące i w bardziej dramatycznej formie.

Naprzód sprawa Włoch. Włochy usunęły "jedynego człowieka odpowiedzialnego za zbrodnię" jak głoszono po stronie alianckiej, Mussoliniego i stworzyły rząd wojskowo — urzędniczy, wierny dynastii i tradycji narodowej. Zawręcz z nim kompromis znaczący skrócił wojnę i zachęcił wszystkich satelitów do porzucenia Niemiec, ale znaczący także zrezygnować z części kary, uznać dopuszczalność różnych form rządów na kontynencie, zawieść nadzieje żywiołów rewolucyjnych w krajach europejskich. Gdy idzie o żywioły rewolucyjne, Anglosasi mają na myśli rewolucjonistów politycznych raczej liberalno — demokratycznych, Rosjanie rewolucjonistów społecznych, przede wszystkim komunistów.

Ten dwójaki punkt widzenia zaznacza się nie tylko w sprawie Włoch. Notujemy na innym miejscu istnienie jego w bardzo ostrej formie w sprawie Jugosławii, co odnosi się również do pozostałych krajów bałkańskich. Bałkany są szczególnie ważne, gdyż to jest teren, na którym niewiadomo czyje siły zbrojne znajdują się pierwsze: zachodnich czy wschodnich sojuszników. Co dotyczy Bałkanów, odnosi się także w znacznej mierze do Europy Środkowej. Tu miarą trudności jest nie tylko zerwanie rosyjsko — polskie ale i trudności między Beneszem a Polską, a również ferment w krajach bałtyckich.

W tych warunkach sprawy militarne i polityczne, splecione ściśle ze sobą, wymagały dodatkowego generalnego omówienia. Taka zdaje się być geneza zjazdu kanadyjskiego. Nic dziwnego że opinia publiczna krajów anglosaskich spodziewała się, iż w tych naradach wezmą udział przedstawiciele sojusznika wschodniego i przygotowana była na spotkanie wielkiej trójki: Churchill, Roosevelt, Stalin. Spotkał ją wszelako zawód. Komunikat sowiecki oświadczył że "wiadomości te są oparte na nieporozumieniu. Rząd Sowiecki nie otrzymał zaproszenia na tę konferencję, stąd z natury rzeczy obecność żadnego przedstawiciela rządu sowieckiego na konferencji w Quebec nie była i nie jest zamierzona".

Ten komunikat objaśnia korespondent dyplomatyczny *"Times'a"* jak następuje: "W sprawie tego spotkania wysuwano wiele propozycji zarówno prywatnie jak i publicznie; i można powiedzieć niewątpliwie, że rząd sowiecki był równie zawiadzony jak rządy amerykański i brytyjski, gdy okazało się, iż najwyższe obowiązki wojskowe Marszałka Stalina w planowaniu i kierowaniu wielką ofensywą sowiecką uniemożliwiają mu przybycie na spotkanie w tym czasie". Konferencja taka zdaniami angielskiego pisma nastąpi w przyszłości.

Jeśli nawet głównym tematem rozmów kanadyjskich są zagadnienia czysto wojskowe, to nie mogą być pominięte sprawy bezpośrednio z nimi związane jak w pierwszym rządzie kwestia administracji obszarów oszabowanych w Europie. Do zarządzania tymi obszarami powołano specjalną organizację t.zw. *Angor*, który przejmuje niejako funkcje rządu, lecz posługuje się aparatem czysto

administracyjnym kraju okupowanego. Ostatnio wyjaśniono że system ten, stosowany na Sycylii, będzie wprowadzany tylko w okupowanych krajach nieprzyjacielskich, natomiast w krajach wyzwolanych *Amgot* będzie funkcjonował tylko jako organizacja pomocnicza przy władzach narodowych. Inaczej mówiąc zakres jego działania będzie zależny od stopnia zdolności kraju do stworzenia władz administracyjnych.

Największe wrażenie bodaj wywołał w opinii politycznej anglosaskiej w zakresie problemu politycznej organizacji Europy fakt utworzenia w Moskwie *Komitetu Wolnych Niemiec* i deklaracja tegoż o potrzebie jednolitych i silnych Niemiec.

Oczy narodów europejskich wpatrzona są w Anglię i Amerykę. Obserwują one nie tyle zarządzenia administracyjne i konferencje międzynarodowe, ile posunięcia polityczne na wielką skalę. Najpilniejszy i najbardziej znamienny jest w chwili obecnej problem włoski. Dlatego może najtrudniej go rozwiązać. Orędzie gen. Eisenhowera zwracało się z sympatią do Domu Sabaudzkiego, radio moskiewskie przywiązuje wagę decydującą do rozruchów robotniczych w północnych Włoszech.

Znajdujemy się w krytycznym momencie politycznych zmagani obcej wojny.

KTO ZWYCIĘŻYŁ?

Wiadomości nadchodzące z Algieru od szeregu tygodni, jeśli nie miesięcy, zmuszają obserwatorów i polityków postronnych do ciągłego stukania w palce: kto zwyciężył? Wypadki suną i rozwijają się powstają i nikną z szybkością kalejdoskopu. Sierpniowa prasa miesięczna cieszyła się — *Contemporary Review* czy *National Review* — że w sporze między dwoma generałami, de Gaulle'm i Giraud'em, zwyciężyła strona trzecia t.zn. zbiorowo odpowiedzialny Komitet Oswobodzenia Francji — co nawiasem dodajmy równałoby się było raczej zwycięstwu "giraudyzmu".

Atoli najostatniejsze wieści przynoszą nowe zmiany zapowiadające, jak się zdaje ostateczny — czy tylko ostatni, sukces de Gaulle'a. Istotnie zerwano tam z zasadą kolejnego przewodnicwa: przed paru tygodniami *Myśl Polska* zwracała uwagę na nietrwałość tej koncepcji i brak precedensu historycznego dla udania się takiego eksperymentu, hen od czasów Sparty. Komitet algierski uzyskał obecnie wyłączne przewodnictwo de Gaulle'a w sprawach cywilnych i wyłączne przewodnictwo Girauda w sprawach wojskowych. General Giraud staje się Wodzem Naczelnym, któremu podlega całe wojsko łącznie z oddziałami de Gaulle'a.

Pozorna równowaga naruszona jest jednak następującymi dwoma postanowieniami:

1. Zgodnie z konstytucją czy tradycją konstytucyjną francuską, generalissimus podlega w ostatnim odwodzie — władzy cywilnej a więc Komitetowi Oswobodzenia;

2. W czasie operacji w polu przewodnictwo Komitetu także w sprawach wojskowych spoczywa w rękach de Gaulle'a — bo wódz naczelny Giraud zajęty jest na froncie.

Dwa te punkty decydują o tym, że w chwili powrotu do Francji, który będzie *wkroczeniem* do Francji — ster polityczny spoczywać będzie w rękach de Gaulle'a. A o to wszakże szło od początku, a nie o coś innego . . .

Nową tą sytuacją, i nowym stosunkiem sił w Algierze, zajął się w ciekawy sposób *Observer* w rubryce zatytułowanej *De Gaulle is now Giraud's superior*, pióra dyplomatycznego korespondenta. Zwraca się tam m.in. bardzo słusznie uwagę na nagłówki listów wymienionych między obu generałami: General de Gaulle zwraca się do Generała Girauda per "mon cher général", zaś General Giraud do de Gaulle'a per "mon général", która to ostatnia formuła używana jest przez podwładnego . . . *Observer* stwierdza, że trzy kierunki polityczne, czy szkoły polityczne angielsko-amerykańskie poniosły tu klęskę: lewica, uważająca Girauda za niebezpiecznego faszystę, "Koła rządowe" w Washingtonie i Londynie, liczące na przeciwwagę Girauda wobec zamierzeń samowładnych de Gaulle'a, i wreszcie ci, którzy stawiali na cywilną władzę Komitetu górującą nad elementem wojskowym . . .

Wreszcie, żeby przypadkiem nie zaszło tu nieporozumienie, rozkaz Generała de Gaulle'a zapowiada dalsze noszenie insygnium Krzyża Lotaryńskiego, jako oznaki i symbolu wzorowych oddziałów, które walczyć będą aż do ostatniego zwycięstwa. Rozkaz kończy się stwierdzeniem dalszym: "Po zwycięstwie kraj będzie znów i dalej potrzebował waszego zapału i entuzjazmu dla olbrzymiego dzieła odbudowy".

Wszystko to jest istotnie niezmiernie bogate w zapowiedzi. Ich realizacja zależy będzie od dalszej akcji — i reakcji. W ostatecznym odwodzie decydować tu będzie postawa obu generałów — oraz postawa kraju.

Nie zdziwilibyśmy się, gdyby zwlekanie z uznaniem Komitetu przez Washington i Londyn nie było bez związku z tym rozwojem wydarzeń.

PRZYGRYWKA BAŁKAŃSKA

Długotrwały kryzys rządowy u Jugosłowian w Londynie zwraca uwagę powszechną na problemy tego kraju, tym bardziej, że teren Bałkanów coraz bardziej wysuwa się na pierwszy plan zainteresowań wojennych. Kryzys rządowy powstał na tle spraw wewnętrznych, a w szczególności stosunków między Serbią, Chorwacją i Słowenią w powojennej Jugosławii. Po parokrotnych zmianach doszło wreszcie do utworzenia rządu urzędniczego pod prezydencją dyplomaty zawodowego, p. Puricza, a to wobec niemożności uzgodnienia stanowisk przez partie polityczne. Zyczyć należy Jugosławii, by eksperyment ten był możliwie krótkotrwały, gdyż rząd na wychodźctwie, złożony z urzędników, choćby nawet sprawniej działający od rządu koalicji politycznej, ma znacznie słabszą pozycję nazewnątrz, jako że odpowiedzialność ruchów politycznych a przez to i kraju za rząd wydaje się mniej bezpośrednia. Istotna, naszym zdaniem, w kryzysie jugosłowiańskim jest zmiana gabinetu, ale to, że utrzymano w nim jako jedynego członka poprzedniego rządu bohaterskiego gen. Michajłowicza, przeciw któremu prowadzona jest od miesięcy kampania nie przebiegająca w środkach, a kierowana nie z wewnątrz społeczeństwa jugosłowiańskiego, ale przez czynniki zewnętrzne, skóre do opiekowania się narodami europejskimi.

Obszernie pisze o tym zagadnieniu red. Voigt w "Nineteenth Century and After". Obrazuje on stosunki narodowościowe — polityczne Jugosławii, przedstawia bohaterską, a w nieopisanie trudnych warunkach rozpoczętą walkę "Czetników" pod dowództwem Michajłowicza, jej wielkie znaczenie strategiczne i moralno-polityczne. Michajłowicz walczyć musi nie tylko z najeżdźcą, co już jest zadaniem niemal nad siły ludzkie, ale także z komunistycznymi partyzantami, usiłującymi rozłożyć Jugosławię przez rzucenie jej w wir rewolucji klasowej.

"Rewolucja społeczna w czasie wojny — zauważa Voigt — oznacza klęskę. Dlatego też konflikt społeczny byłby uznany za groźbę, gdyby pojawił się w Stanach Zjednoczonych, Rosji albo Anglii, za nadzieję natomiast że koniec będzie rychły a zwycięstwo całkowite, gdyby pojawił się w Niemczech Włoszech czy Japonii". Tej prostej prawdy zdaje się wielu ludzi nie rozumieć.

"Jest prawdą, że Anglia popiera Michajłowicza. Ale ci tam, którzy z narażeniem życia słuchają B.B.C., nie mogą mieć tego wrażenia. Niewiele jest tam stacji odbiorczych ale, co jeden usłyszy, to jest powtarzane tysiącom, na piśmie lub żywym słowem, ze zdumiewającą szybkością i dokładnością. Co muszą sobie wyobrazić ci którzy żyją w ciemnościach niemieckiego "Nowego Ładu" jak w ogromnym więzieniu, i dla których dźwięk każdego głosu z Anglii jest pokarmem, napojem i światłem, kiedy zauważają z niepokojem pogłębiającym się aż do obawy, że nazwisko Michajłowicza jest wspomniane najrzadziej jak można, i że słowo "czetnik", słowo pełne chwały w całych Bałkanach w ogóle nigdy nie jest wymieniane. Guerilla i Patrioci pojawiają się w biuletynach wiadomości i przemówieniach, czasem Partyzanci, ale Czetnicy nigdy. Co muszą myśleć ci Jugosłowianie tu w Londynie, którzy odegrali decydującą rolę w obaleniu księcia Regenta Pawła, w zorganizowaniu rewolucji i wprowadzeniu swej ojczyzny do wojny po stronie Anglii, kiedy dowiadują się, że Michajłowicz jest pospolicie przedstawiany jako "Faszysta", a rząd, w którym biorą udział, jako "składający się z klikli dworskiej i wojskowej z okresu przedwojennego" z insynuacją, że i oni także są Faszystami? Może nie ma to znaczenia, co myślą. Co wszakże muszą oni mówić swoim rodakom, z Michajłowiczem włącznie, którzy oczekują na każde słowo z Anglii, dla których każda cytata z prasy angielskiej jest wydarzeniem, gdy takie twierdzenia nie ograniczają się do jednego dziennika, ale są przedmiotem, w rzeczywistości, jeśli nie w planie, kampanii prasowej i gdy rzadko tam można znaleźć opinie odpowiadającą bądź rzeczywistości, bądź też — co jest najbardziej niezrozumiałe ze wszystkiego — zgodną z interesem Anglii i Sprzymierzonych".

Nie szczędząc drastycznych przykładów Voigt słusznie wskazuje na to niezwykle niebezpieczne zjawisko, jakim jest przedstawianie, i to nie w interesie Anglii bynajmniej, ruchów narodowych na kontynencie jako ruchów "faszystowskich". Stan taki jest, naszym zdaniem, możliwy tylko wskutek tego, że pewne elementy żerują na niezajomości życia wewnętrznego narodów kontynentalnych, dość pospolitej w szerszych kołach społeczeństw anglosaskich. Szerzowanie zarzutem "faszyzmu" w stosunku do wszystkiego, co nie jest czerwone, może stać się źródłem wielu pomyłek, błędów i rozczarowań.

MARIAN EMIL ROJEK

DEMAGOGIA INTELIGENTÓW

ZASTRZEGAM się z góry, że przy wybraniu powyższego tytułu nie chodziło mi o potępienie inteligentów raz na zawsze. Żeby więc nikt nie obrażał się i nie uchwałił żadnych protestów, gdyż chodzi tu tylko o zwyczajną krytykę i nic więcej. Zamierzam nią objąć zresztą i niektórych chłopów, a mianowicie tych, którzy z umysłowości starej, szlacheckiej, i nowej, inteligentkiej, przejęli pewne kategorie myślenia już w samym założeniu błędne: bądź nie mające związku z rzeczywistością — jak u inteligentów — bądź przestarzałe — jak u szlachty.

OBCE SŁOWNICTWO

Zaczynam od Karola Zbyszewskiego w "Wiadomościach Polskich" i od zagadnienia słownikowego: *intruder* czy *klusownik*.

Zbyszewski porusza zagadnienie ogólne wprowadzania wyrazów obcych do języka polskiego i będąc zwolennikiem pozostawienia tu zupełnej swobody, nie radzi kłaść żadnych tam falom słownictwa obcego, wdzierającego się ze wszystkich stron do hoteli, *flatów*, lub też namiotów, i ziemianek nawet, rozprószonej po całym świecie emigracji wojennej polskiej.

Nie uważam, żeby ta zasada była słuszna. Nie chodzi zresztą o to, żeby w języku polskim w ogóle nie było zapożyczeń obcych. Wiemy, że to i niemożliwe i niewłaściwe. *Niemożliwe*, bo zapożyczeń mamy już bardzo dużo, bo każdy wpływ kulturalny obcy, każda wymiana kulturalna i każdy kontakt z innymi narodami wprowadzał do nas i nowe pojęcia i nowe ich słownikowe określenia. Pisał Żeromski w rozprawce "Snobizm i postępek", że gdybyśmy z naszego polskiego domu wyrzucili niemieckie cegły (*die Ziegel*) i niemiecki dach (*das Dach*), nie mielibyśmy w czym mieszkać. Czesi zastąpili dach, zdaje się, *pokrywką*, i w ogóle przeprowadzili w XIX w. bardzo radykalną *czystkę* (to wpływ bolszewików rosyjskich: dawniej mówiło się *puryfikację*) w swoim słownictwie, a pomimo to, według znawców, język czeski uległ wpływom niemieckim o wiele istotniej, niż język polski.

Zapamiętałe ściganie zapożyczeń obcych w polszczyźnie jest również *niewłaściwe*, skoro świadczą one o naszych związkach bezpośrednich z podstawami cywilizacji europejskiej i z innymi cywilizacjami. Węgry, podobnie jak Czesi, w ferworze nacjonalistycznym XIX wieku przeprowadzili w swoim języku również *czystkę* i wyrzucili ze swego słownictwa nie tylko *hotel*, na co się skarży Zbyszewski, ale n.p. i *naturę*. Jak się teraz nazywa po węgiersku natura, już nie pamiętam, w każdym jednak razie natury nie przypomina. My Polacy, zaś mamy i łacińską naturę, jak Włosi, Francuzi, Anglicy i Niemcy, ale mamy też i swoją *przyrodę*. (Niemcy zresztą może już i *natury* nie mają, bo skoro zamiast botaniki wprowadzili *Pflanzenkunde* a zamiast geografii — *Erdkunde*, więc może

już i łacińską naturę przechrzcili na starogermańskie?)

Z drugiej jednak strony nie ma racji Zbyszewski, kiedy porównuje język polski z językiem angielskim. Polszczyzna ma jeden główny pierń — słowiański, bądź historycznie polski razem z *ceglami* i *dychem* — język angielski natomiast ma kilka głównych pni, co najmniej dwa, a moim zdaniem, nawet trzy. Powszechnie się przyjmuje, że dwa te pnie to pochodzenie germańskie (nie niemieckie!), jak to niedbale czasem w polskich kołach się mówi) języka plemion anglosaskich oraz pochodzenie francuskie mowy normandzkich zdobywców. Indywidualnie jednak myślę sobie, bo nie jestem specjalistą, że i łacina, wprost z Rzymu bez pośrednictwa francuskiego, odgrywa w języku angielskim ogromną rolę i kiedy np. słyszę przechodząc rozkaz kaprała angielskiego, żeby ćwiczący żołnierze zdjąć *tunics*, nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to łacińskie słowo nigdy chyba z Wielkiej Brytanii od czasów rzymskich wyparte nie zostało.

Więc też i w języku polskim powinniśmy być dwa albo trzy razy ostrożniejsi, niż są Anglicy w swoim języku, przy przyjmowaniu wyrazów obcych. Jeżeli jest nowe pojęcie i potrzeba nowego określenia, poszukajmy najpierw, czy nie uda się utworzyć czego własnego i dopiero wtedy przyjmijmy przybysza, jeżeli nie jest on intruzem.

Nie jest rzeczą przypadku — choć naprawdę nie zamierzam wprowadzać żadnej partyjnej polityki do uwag niniejszych — że najwięcej pisarzy wrażliwych na przesadne wpływy językowe obce grupowało się w kołach związanych politycznie z obozem narodowym. Główny twórca tego obozu, Roman Dmowski, był zarazem i wielkim pisarzem i wielkim klasykiem językowym polskim, zwłaszcza w dziale prozy politycznej. Mówił dobrze po francusku i po angielsku, znał doskonale rosyjski oraz niemiecki, napewno znał hiszpański i portugalski, bo uczył się tych języków przed wyjazdem do Ameryki Południowej na studia i obserwacje tamtejszej emigracji polskiej. Nie był też żadnym purystą językowym, był zwolennikiem języka żywego i jędrnego, ale też trzeba było porównać jego polszczyznę z tym, co z języka polskiego robili niektórzy publicyści i niektóre pisma w Polsce!

I w innych ośrodkach politycznych nie brak nam było zresztą mistrzów języka i stylu polskiego i pod tym względem nie mamy powodu do narzekania na poprzednią generację polską.

Nie odcinając się tedy od związków i kontaktów z ogniskami twórczości obcej, nie zaniechajmy jednak prób dostosowania nowego słownictwa do dawniejszej tradycji i dopiero kiedy takie próby zawiodą, wprowadzajmy do polszczyzny słowa obce. Tyle się nas rozeszło po świecie, iż napewno i tak wiele terminów obcych do Polski wprowadzimy.

INTRUDER CZY KLUSOWNIK

Przechodząc do zagadnień szczegółowych, wyłowię z całej gęstwy nowego słownictwa zagadnienie na razie najgłośniejsze: *intruder* czy *klusownik*, czy może jeszcze inaczej? Zbyszewski zwalcza *klusownika*, broni *intrudera*, ale nie tłumaczy, dlaczego jest przeciwnikiem jednego i zwolennikiem drugiego. Zdaje się on być zasadniczym zwolennikiem cudzoziemskich słów na określenie pojęć od cudzoziemców zaczerpniętych.

Natomiast ja jestem zasadniczym zwolennikiem polszczenia tych nowych pojęć i dlatego wyłożę tu, dlaczego popieram *klusownika*.

Zdaje się, że cała dyskusja zaczęła się od listu w *Dzienniku Polskim*, którego autorka (nazwiska sobie w tej chwili niestety nie przypominam) wystąpiła przeciw terminowi *klusownik* ze względów moralnych.

Otóż, moim zdaniem, za niemoralnego zasadniczo może uważać *klusownika* tylko policjant, przedstawiciel urzędowej moralności. Moralność jednak urzędowa nie jest jeszcze sama przez się moralnością najwyższego rzędu. W każdym bowiem społeczeństwie zróżnicowanym istnieje, jakby pod moralnością zasadniczą, kilka systemów moralnych obiegowych, z których oficjalnie obowiązuje system urzędowy.

W szczególności jest tak w społeczeństwach, w których istnieje kilka warstw socjologicznych i kilka systemów ekonomicznych obok siebie. Weźmy na przykład polskich chłopów. Każdy, kto zna wieś z własnej przeszłości, a nie tylko z inteligentkich obserwacji, wie, że tytułem do własności była tam głównie praca. Nie chcę się rozwlekać, przypomnę tylko tak częste na wsi z przed lat dwudziestu odezwanie się: "*dalibyście parę jablek, coś to orzecie czy siejcie? Pan Bóg sam wam rodzi*".

W systemie kapitalistycznym takie odezwanie się jest śmieszne, w systemie gospodarki naturalnej odmowa owocu posiadanego "bez pracy" ma to samo znaczenie, co odmowa ognia czy wody potrzebującym. I dla tego w naszej społeczności wiejskiej, z przed lat dwudziestu jeszcze, nieletni chłopcy kradnący jabłka z ogrodzonego nawet sadu uchodzili raczej za psotników, niż złodziei. Natomiast kradzież snopów pozostawianych z reguły bez dozoru w szczerym polu uchodziła za zbrodnię, na którą należało reagować natychmiast jak najostrzej, o wiele ostrzej, niż by to wynikało z przepisów urzędowego kodeksu karnego.

To samo jest z *klusownikami*. Mam tu na myśli oczywiście nie każdego szkodnika leśnego, niszczącego zwierzynę wszelkimi sposobami dla celów merkantylnych. Takich namnożyło się mnóstwo po tamtej wojnie w Polsce. W ścisłym jednak tego słowa znaczeniu *klusownik* to osobnik, który nie umiał opanować prastarego instynktu łowieckiego, a zadośćuczynić mu mógł w istniejących warunkach tylko w sposób nielegalny. Policjant zawsze uważał go za złodzieja, prawdziwy myśliwy mógł go czasem zniecierliwić, ale najczęściej go rozumiał, czasem nawet robił z niego gajowego. Sam zaś *klusownik* miał czyste sumienie, gdyż uważał, że właściciel rewiru i tak nie sieje ani orze kuropatw i zajęcy, że las sam rośnie z łaski Bożej, kapitalistyczne zaś rozumowanie było mu nie tylko obce, ale wręcz umysłowi jego niedostępne.

Otóż kiedy nadchodzi wojna, moralność najwyższego rzędu pozostaje ta sama, a nawet

kontury jej mogą się wyostriżyć. Hierarchia natomiast systemów moralności obiegowych ulega przemianom. Każdy niższy dowódca piechoty z tamtej czy z tej wojny wie doskonale, że kłusownicy z cywila w oddziale, to najczęściej najlepsi żołnierze, gońcy, strzelcy wyborowi, uczestnicy i nawet dowódcy patroli. Podobnie i przemytnicy nasi w Karpatach, ścigani latami przez straż celną, okazali się od października 1939 r. obywatelami wyjątkowego dla Państwa znaczenia. Więc też sądzę, że moralnie i językowo nic nie stoi ma przeszkodzie, żeby angielskiego intrudera w lotnictwie nazwać kłusownikiem. Jest to taki myśliwiec który czyha w nocy nad lotniskiem nieprzyjacielskim, aby ewentualnie przystrzelić sobie lądującego *npla*, jakby z zasadzki kłusowniczej zwierzynę wracającą do legowiska. Nie jest to intruz, bo to słowo oznacza w języku polskim raczej nieproszony gość, lub w ogóle natręta; nie jest to także *harcownik*, bo takim w lotnictwie jest chyba myśliwiec osłaniający bombowce. *Tropicielem* w lotnictwie będzie zapewne samolot obserwacyjny samodzielnych Sił Lotniczych, wypatrujący w wojnie ruchowej nieprzyjacielskich kolumn naziemnych, *zagoczykiem* zaś może myśliwiec idący na *sweep*, na wymiatanie, w szyku jakby dawnego kawalerskiego podjazdu. Taktycznie, lotnik czyhający na nieprzyjaciela w nocy nad jego lotniskiem i zdany w znacznym stopniu na swoje łowieckie szczęście, najtrafniej jeszcze może być określony po polsku jako *klusownik*.

CHŁOPSTWO I PAŃSTWO

Innym spornym terminem, który mnie zresztą poruszył do żywego (piszę te uwagi osobiście i nikomu swojej opinii nie narzucam), jest wprowadzony niedawno na łamy organu ludowców w Londynie, "*Zielonego Sztabu*", słowo "*chłopstwo*". W artykule p.t. "Własna treść i własna forma" w tym piśmie z daty 24 lutego 1943 niepodpisany autor używa kilka razy słowa na określenie ogółu chłopów polskich. Pisze on np.: "*Chłopstwo* polskie popłynie szerokim i wartkim nurtem swojego Stronnictwa".

Będąc pochodzenia chłopskiego, muszę przeciw tej terminologii zaprotestować. "*Chłopstwo*" nie jest określeniem chłopskim, to znaczy używanym przez samych chłopów. Jest to określenie dawne, szlacheckie, przejęte częściowo przez inteligencję miejską i niczym dziś nieuzasadnione.

Kiedy *państwo*, w sensie uprzywilejowanej w obowiązującym prawie warstwy społecznej, skończyły się, skończyły się również pojęciowo i psychologicznie i *chłopstwo*. *Państwo* oznaczało dawniej nie tylko klasę społeczną i kategorię prawną, ale i zespół cech pewnej kultury, której przeciwstawione było *chłopstwo* nie tyle jednak jako zespół cech innej kultury ile jako środowisko charakteryzujące się brakiem cech *pańskich*. Słowo *państwo* w wyżej określonym sensie przestało w języku polskim zawierać treść żywą i ten sam los spotkał jego negatyw — *chłopstwo*. Oczywiście, w życiu nie jest to takie proste; słowo *chłopstwo* dożyło też naszych czasów, wyjątkowo jednak w mózgach przechowujących z pietyzmem dawno przebrzmiałe pojęcia. Do takich należała w Polsce m.i. poczytna autorka Helena Mniszkówna, która często rysowała wzruszające, serca sentymentalnych mieszczek, obrazki *państwa* w jasnym dworze i *chłoptwa*, dopuszczanego co najwyżej przed próg, lub, obserwowanego z niepokojem ze dworu, jako wzburzonej *czerni*. Okazuje się, że między autorką popularnych w pewnych

kołach w Polsce sentymentalnych powieści i niektórymi publicystami ludowcowymi jest więcej wspólnoty duchowej, niżby to można było przypuszczać z pozorów.

Stąd już tylko krok do dalszej terminologii ludowcowej, bardziej poprawnej językowo, ale równie *reakcyjnej* w treści. Mam tu na myśli określanie rocznicy zwycięstwa pod Warszawą w dniu 15 sierpnia 1920 jako *Święta Czynu Chłopskiego*. Jest rzeczą absolutnie jasną, że chłopci polscy walczyli w szeregach zbrojnych polskich w 1920 r. przede wszystkim jako *Polacy*. Nie była to wcale w tym czasie wojna np. chłopów z robotnikami, lub np. rybakami, ale wojna Narodu polskiego przeciw najazdowi Rosjan, zorganizowanych w systemie komunistycznym.

Mimowoli wrywa się tu westchnienie, że — jeżeli ograniczymy się tu do ludowców — taki Witos całe życie *pracował* nad tym, żeby z chłopów w Polsce zrobić Polaków, niektórzy ludowcy zaś w Londynie wiele by dali, żeby z powrotem Polaków przerobić wyłącznie w chłopów.

Ta przesadna "chłopska" terminologia zagarnęła dla Stronnictwa Ludowego nawet Zielone Świątki, które w żargonie politycznym ludowców teraz nazywa się "*Zielone Chłopskie Święto*". Niezdrowy taki imperializm partyjny — językowy w dziedzinie religijnej mógłby napawać smutkiem, gdyby nie to, że Zielone Świątki są uroczystością ku czci *Ducha Świętego*, co pozwala zostawić jeszcze spory margines optymizmu i nadziei na pomiarkowanie się niektórych umysłów chłopskich zbyt *nieopanowanych*.

ZWIĄZEK RADZIECKI

Podyskutowawszy ze Zbyszewskim i starszyszy się, lekko, z nieznanymi autorami terminologii politycznej ludowcowej, podostrzam sobie pióro na p. Ryszarda Wragę, publicystę o dużej naprawdę wiedzy w pewnych dziedzinach polityki i dużej zarazem fantazji, co razem składa się na obraz niezupełnie harmonijny. W szczególności wysuwam w niniejszym artykule pretensje o upór, z jakim Ryszard Wraga w swoich pracach stosuje do Związku Sowieckiego i różnych *sowieckich* republik przymiotnik rzekomo polski "*radziecki*". A więc Związek Radziecki, Ukraina Radziecka i — oczywiście razem z Wragą jesteśmy wszyscy przeciw niej — *Radziecka Polska*.

W tym odosobnionym wypadku przyjmuję zasadę Zbyszewskiego, żeby nie starać się spolszczyć za wszelką cenę importowane do nas cudzoziemskie pojęcia i jego językowe określenie. Rosyjscy komuniści są wynalazcami i twórcami treści słowa *Sowiety*, a ponieważ zarówno samo pojęcie jak i jego określenie pozostać muszą dla nas zawsze tworem obcym, więc też nie należy szukać dla nich polskiego ekwiwalentu. We wszystkich językach europejskich *Sowiety* i wszelkie słowa pochodne znane są w swoim oryginalnym brzmieniu rosyjskim i nie ma żadnej potrzeby, żebyśmy pod tym względem odcinali się od ogólnego łańcucha kultury zachodniej.

Naturalnie, komuniści używający języka polskiego wiedzą co robią, wprowadzając do polszczyzny swoje agitacyjne nowotwory. Mają oni swoje własne, bynajmniej nie lingwistyczne cele, polscy jednak pisarze i politycy powinni zwracać uwagę również na to co się kryje za słownictwem i stylem międzynarodowej siły wywrotowej.

Wspomnę tu, chyba pierwszy, o osobliwym posunięciu językowym sowieckich władz okupacyjnych na wschodnich ziemiach Polski w 1939 r. Zabroniono wtedy używać na określenie ludności żydowskiej w języku polskim słowa "*Żyd*" i wszelkich pochodnych, twierdząc że jest to słowo o treści obraźliwej, że należy natomiast używać słowa bardziej cywilizowanego a mianowicie — "*Jewrej*". Tymczasem w polszczyźnie, zwłaszcza ludowej polszczyźnie niektórych części Polski, rosyjskie słowo "*Jewrej*" (Hebrajczyk) brzmiało obraźliwie, a natomiast słowo "*Żyd*" nie zawiera w sobie dla ucha polskiego samo przez się ani treści dodatniej ani ujemnej. Okupantom chodziło jednak o upodobnienie Polski do krajów Imperium Sowieckiego, o rozciągnięcie pojęć i terminów sowieckich na świeżo zagarnięte ziemie o innej kulturze i cywilizacji.

UKRAIŃCY

Parę słów o "*kwesii ukraińskiej*" w języku polskim i w pisowni polskiej. Warto by kiedyś przedstawić osobno, w jaki sposób doszło w języku polskim w obecnym okresie do wymiany słowa "*Rusin*" na "*Ukrainiec*". Jeszcze w Encyklopedii Brytyjskiej można znaleźć łacińskich *Ruthenes*, naszych Rusinów, w polszczyźnie ich co raz mniej. Wypierają ich *Ukraińcy* i zobaczymy w najbliższym okresie politycznym czy ta bezwarunkowa zmiana wyjdzie politycznie naszym Rusinom na zdrowie. Najbardziej po europejsku myślący ich ośrodek w Małopolsce Wschodniej, orientujący się na katolicyzm i konserwatyzm, próbował protestować przeciwko odstępowaniu Moskwie do wyłącznej dyspozycji starej nazwy Ruś, nic to jednak w kołach rusko-ukraińskich nie pomogło.

Na tym właśnie odcinku można szczególnie dokładnie obserwować *nowinkarstwo* inteligencji polskiej, która z lekkim sercem pozwoliła czynnikom obcym wtargnąć i rozporządzać się wewnątrz języka i terminologii polskiej. Wykwestem tu była mądrość polityczna inteligenta z wyższym wykształceniem Dr. Felicjana Sławoj-Składkowskiego, który w okólniku *administracyjnym* jako premier, reformował język polski i przechrzył szalę na rzecz terminu *Ukraina* i *ukraiński*.

Inni inteligenci już na bruku londyńskim, z podziwu godnym uporem starali się *ukrainizować* język polski do granic absurdu. Pamiętam w "*Dzienniku Polskim*" wiadomości o ś.p. Dr. "*Kostiu Lewyckij*" co oczywiście miało oznaczać Dr. Konstantego *Ukrainkiego*. Gorliwszy ten w "*Dzienniku*" ukraińista niż ortograf nie raczył zajrzeć do zasad pisowni polskiej, w których kwestia nazwisk ukraińskich w tekście polskim została ustalona. Nazwiska te mają być pisane w ich brzmieniu z wyjątkiem końcówek "skij" i "ycz" które mają być pisane wymawiane i odmianiane z polska ("ski", "icz"). Jako przykład podawała Akademia m.i. nazwisko Ukrainca profesora Jagiellońskiego Uniwersytetu *Zylińskiego* którego nie wolno przekreślać po polsku na *Zielińskiego*, ale też nie wolno z niego robić *Zylińskij*. (Można naturalnie wybaczyć Lwowianom wymawianie nazwiska *Łewycki* jako *Lewicki*, skoro krewni ruskich *Łewyckich* pozostali nadal Polakami i skoro wszyscy *Łewicy* i *Łewyccy* przechowali pamięć wspólnego herbu *Rogala*.)

PISOWNIA

Wreszcie przechodzę do tematu najściślej związanego z tytułem: do kwestii pisowni starej i nowej. Pamiętamy dyskusję w Polsce

nad pisownią, prawdziwe żniwo dla felietonistów. Kiedy pisownia została ustalona, należało i można było dyskusję podtrzymać, nie należało jednak dopuścić do chaosu wynikającego z używania w jednym kraju i języku dwu pisowni. Pisownia jest kwestią umówienia się, pewnej społecznej konwencji. Można się spierać o wymowę, trzeba jednak mieć powszechne zasady używania znaków pisarskich.

I znowu rzecz ciekawa. Pisownię uchwalili Komitet powołany przez Akademię Umiejętności, wprowadził ją do urzędów i szkół Rząd. Poza tym używanie nowej pisowni nie było naturalnie obowiązkowe, natychmiast jednak zastosowały się do niej pisma kierunku narodowego w całej Polsce. Natomiast szereg innych pism o dużym zasięgu, żeby tylko wymienić *I.K.C.*, *Słowo*, oraz *Wiadomości Literackie*, pozostał przy starej pisowni, namiętnie zwalczając nową. Czy nie ciekawe, jak przebiega w Polsce linia wewnętrzna dyscypliny społecznej?

Oczywiście, nikt żądać nie może od wszystkich pisarzy — zwłaszcza w podeszłym wieku — żeby jeszcze raz uczyli się nowej pisowni. Stary jednak Tadeusz Zieliński znalazł wyjście z sytuacji, oświadczając, że wprowadzenie nowej pisowni w swoich skrypcach pozostawia . . . korektorom.

Sumując, można chyba stwierdzić, że w zbiorowym życiu polskim za wiele jeszcze było płytkiego indywidualizmu, za mało standardów ogólnie — narodowych i nie kwestionowanych przez nikogo. Te jednak m.i. cechy stanowią o zwartości i odporności danego organizmu społecznego czy narodowego.

Szczególnie można krytykować pod tym względem polską inteligencję, zespalającą w sobie równocześnie najlepsze i najgorsze cechy charakteru narodowego polskiego. Oczywiście można wiele przytaczać na usprawiedliwienie inteligencji. Wystarczy powiedzieć że i ta warstwa społeczna polska, jak i cały naród, nigdy nie miała przed sobą dłuższego okresu czasu bez przeszkód zewnętrznych, który by pozwolił na wypróbowanie i sprawdzenie wielu zasadniczych pojęć i wartości.

Wojna obecna jest dla całego społeczeństwa polskiego straszliwą szkołą. Można wyrazić nadzieję, że zmaganie się z wrogiem z jednej strony, a konfrontowanie naszych wartości z cudzoziemskimi z drugiej, pozwoli na wprowadzenie w większej niż dotąd mierze w życie polskie pewnego porządku i celowości. Jeżeli stracimy nieco trochę polskiego szlachetko — chłopskiego sobiepaństwa, jeżeli nauczymy się myśleć kategoriami a nie refleksjami, jeżeli ustalimy pojęcia podstawowe naszego bytu narodowego i jeżeli nauczymy się walczyć o nie i realizować je w dużych i trwałych zespołach, musimy doczekać się odpowiednich wyników.

MARIAN EMIL RÓJEK

WYSTAWA

Wystawa rysunków i akwareli Jerzego Faczyńskiego w Liverpool, Walker Art Gallery, Bluecoat Chambers, School Lane, otwarta jest od 9 do 28 sierpnia 1943, w dniu powszednim od 10 rano do 5 pop., w niedziele od 2 do 5 pop. Wstęp wolny. Gospodarzami są Przedstawiciele — Lt. Col. V. E. Cotton, C.B.E. — i Członkowie Komitetu Bibliotek, Muzeów, Sztuki i Muzyki.

Z Żałobnej Karty

Ś.p. MARIAN KINIORSKI

Z kraju nadeszła smutna wiadomość o zgonie ś.p. Mariana Kiniorskiego. Zmarły należał do czołowych postaci polskiego życia społeczno — politycznego i zasługuje na obszerne wspomnienie. Niestety warunki wojenne sprawiły, że musimy się ograniczyć jedynie do zwięzłej notatki o tym niepospolitym działaczu.

Ś.p. Kiniorski, właściciel majątku Suchodębie, należał do tej gromady ziemian, która pracą społeczną i polityczną wśród polskich chłopów wysunęła jako naczelne zadanie inteligencji wiejskiej. Przewodził tej gromadzie żarliwców nieodżałowanej pamięci Chelchowski, a ś.p. M. Kiniorski był jednym z najgorliwszych jego współpracowników. Dzięki wysiłkom takich ludzi, jak Kiniorski i cały zastęp Mu podobnych, kierowanym przez Ligę Narodową, z której wyrosło później Stronnictwo Narodowo — Demokratyczne, rozwijała się bujnie w okresie przed i po tamtej wojnie zarówno gospodarczo, jak i politycznie wieś polska. To, że chłop polski politycznie i narodowo dojrzał i do należnej mu roli w państwie sięga, jest zasługą cichej, wytrwałej pracy Obozu Narodowego i tych, którzy z jego ramienia grunt wiejski przeorali. Ś.p. Kiniorski zaczął od roboty społecznej w Kółkach Rolniczych, dopiero potem dał się poznać w polityce. Zrazu przewodził Centralnemu Tow. Rolniczemu, był jego prezesem, a potem wszedł do Senatu Rzpltej. Wierny zawsze ruchowi narodowemu aż do ostatnich chwil swego życia należał do Stronnictwa Narodowego. Mało kto wie, że obok pracy społecznej Zmarły umiał po mistrzowsku włączyć piórem, chociaż pisał bardzo mało. Świetne było Jego wspomnienie o ś.p. Lisowskim zamieszczone w "Myśli Narodowe" na kilka lat przed wojną.

Należał do pokolenia które pod przewodem R. Dmowskiego odbudowało w czasie tamtej wojny niepodległe państwo polskie, patrzył na jego upadek w czasie wojny obecnej, nie doczekał wskrzeszenia na nowo po tej wojnie niezależnego państwa, które nam przypada w udziale budować. Niech Mu ziemia polska, którą tak kochał, lekka będzie.

B.

Ś.p. ZBIGNIEW KRETKOWSKI

Podporucznik lotnictwa Zbigniew Kretkowski zginął śmiercią lotnika pod szczątkami strażkanego bombowca. Ś.p. Zbigniew Kretkowski pochodził z Kujaw. Od wczesnej młodości zajmował się pracą społecznonarodową. Jako oficer rezerwy kawalerii odbywał kampanię polską, zyskując uznanie przełożonych i podwładnych. Przedzierał się do Francji i przebywał kampanią francuską z Pierwszą Dywizją. Zgodna opinia wszystkich stwierdza jego niezwykle zdolności dowodzenia i ogromną odwagę osobistą. Po klęsce Francji przeprowadza za linię demarkacyjną swój oddział w potrojonym składzie. W anormalnych warunkach emigracyjnych nie doczekał się za to uznania. Na ziemi brytyjskiej idzie tam, gdzie największe niebezpieczeństwo i najprawdziwsza walka: do lotnictwa. W służbie pod znakiem husarskich skrzydeł spotyka go śmierć. Cześć jego pamięci!

Ś. † P.

LEON CZEPIEŁOWSKI

Wychowanek Politechniki Lwowskiej, inżynier, członek Młodzieży Wszechpolskiej, członek Korporacji Leopolia, zginął rozstrzelany przez Niemców we Lwowie, w marcu 1943, w wieku lat 32, o czym zawiadamiają —

PRZYJACIELE

*Po trudach i znojach walki
o wolność Ojczyzny —
Wieczne Odpoczywanie
racz mu dać Panie.*

SPRAWY POLSKO- EWANGELICKIE

Grono Ewangelików-Polaków utworzyło w ubiegłym miesiącu oficjalną organizację ogólną ewangelicką pod nazwą "Zrzeszenie Ewangelików-Polaków w Wielkiej Brytanii" ("Polish Protestants Association in Great Britain").

Według postanowień statutu zrzeszenia rozciąga swą działalność na obszar W. Brytanii, krajów sprzymierzonych i neutralnych. Nowopowstała organizacja ma na celu: zrzeszenie Polaków wyznań ewangelickich a przebywających obecnie w zasięgu działalności towarzystwa; udostępnienie korzystania z usług religijnych; reprezentowanie na zewnątrz ewangelików Polaków; utrzymywanie łączności z kościołami protestanckimi i pokrewnymi organizacjami krajów anglosaskich i skandynawskich; przygotowanie odbudowy polskich zborów w Kraju, zniszczonych przez okupanta. Ażeby móc sprostać nakreślonym celom i zadaniom, konieczna jest współpraca jaknajwiększej liczby ewangelików Polaków, przebywających na emigracji. Członkowie założyciele apelują więc do swoich współwyznawców o liczne zgłaszanie się na członków związku.

Obecne władze zrzeszenia, z chwilą ukończenia prac przygotowawczych, zwołają walny zjazd wszystkich członków celem wyłonienia nowych władz zrzeszenia i przedyskutowania żywnych zagadnień ewangelicko-polskich chwili obecnej i najbliższej przyszłości.

— Tymczasowy zarząd ukonstytuował się następująco: Dr. B. Kożusznik — prezes, Karszo — Siedlewski J., Cienciała A. — wiceprezesa, inż. K. Kaleta — sekretarz, Borski J. — skarbnik, Bevensce, Borchardt, Martin — członkowie zarządu. Prócz wyżej wymienionych założycielami są Bevensce Janina, K. Borchardt, J. Cienciała, Eugeniusz Wesse, Kazimierz Wesse i A. Werner.

Do czasu utworzenia stałego sekretariatu, chwilowo, korespondencję i zgłoszenia uprasza się przysyłać pod adresem:

Dr. B. Kożusznik,
100, Eamont Court,
Mackennal Street,
London, N.W.8.

W zgłoszeniach prosimy podać: nazwisko, imię, datę urodzenia, stan cywilny, zawód, obecne zajęcie; nadmienić do którego zboru dana osoba w Polsce należała; dokładny adres.

TREŚĆ 52. Nr. "Myśli Polskiej":

DRUGI ETAP WALKI — P. J. ZADANIA I METODY (garsić uwag) — Stanisław Kowalski. FINANSOWANIE PRZEBUDOWY — Ekonomista. NOTY I UWAGI: Wielkość i czar Polski; Horyzont dyplomatyczny; Kto zwyciężył?; Przegrzywka bałkańska. DEMAGOGIA INTELIGENTÓW — M. E. Rojek. Z ŻAŁOBNEJ KARTY: Ś.p. Marian Kiniorski; Ś.p. Zbigniew Kretkowski; Ś.p. Leon Czepielowski. KOMUNIKATY: Sprawy polsko ewangelickie.